Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. **Niedziela, dnia 15 listopada 1936 r.** Nr. 46.

Na dolę i niedolę...



Ot i już kres podróży — nowy świat przede-
[mną,
Nowi ludzie, zdarzenia. Odgadnąć daremno,
Co mię w tym domu czeka. Radość? Smutek
[nocy?...

A może znów się łudzę, że dobroci szukam?
(...Wiatr szaleńcze gra scherzo w tych sosnach
[i bukach,
Chmury na horyzoncie skądś się pojawiły...).
— — — — — — — —

Niepokoi mię losu zagadkowa mglistość — —
Chciałbym napotkać serca, których herbem:
[czystość,
I oczy, z których patrzy szczerość i życzliwość...

Na dolę i niedolę przychodzę tułaczą,
Ciągły życia wędrowiec — jakżeby inaczej?!...

Dni trudem ciągłym, rozterką się znaczą,
I tak rzadko nadzieja w sercu zakołacze...

Danuta Wyrybkowska.

WOJCIECH HOLM

7)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Trwoga nieopisana malowała się na wszystkich twarzach.

W istocie w jednym miejscu sznur był tak przetarty i cienki, że zdawało się, iż nie wytrzyma ciężaru Sylwii i przerwie się.

Życie jej wisiało na włosku.

Widząc to wszyscy, drżeli.

Mężczyźni, pracujący przy windzie, nie ważyli się przyspieszyć ruchu i zmniejszyć niebezpieczeństwa, gdyż obawiali się, że przez szybkie windowanie i nawijanie sznur prędzej urwie się.

Bezprzytomnie prawie, z oczyma szeroko otwartemi patrzyła pani Magdalena, to na Sylwię, to na sznur przetarty, to znowu na odległość, dzielącą ją jeszcze od ziemi.

— Radujcie się — zawołała Sylwia dźwięcznym głosem — przeszukałam całe dno Czartowskiego Jaru, a nawet Wilczy Dół i nigdzie nie znalazłam ani śladu hrabiego.

Szmer najwyższego zdumienia przebiegł po zaciekawionym tłumie, na którego twarzach malowało się zdziwienie.

Pytania, przypuszczenia i okrzyki, krzyżowały się z sobą.

Na krótki czas zapomnieli wszyscy nawet o niebezpieczeństwie, w którym była Sylwia, tak dalece zajęła ich niespodziewana i ciekawa wieść, że w Czartowskim Jarze niema trupa hrabiego Wernera. Tylko Herbert z żoną nie spuszczali oka z Sylwii.

Herbert klęknął na ziemi i wyciągnął do niej obie ręce.

Gdy tylko mógł ją dosięgnąć, chwycił ją w objęcia i wyciągnął na górę.

Zaledwie stopa Sylwii dosięgła ziemi, ozwał się ze wszystkich piersi głośny okrzyk radości.

Pani Magdalena chwyciła córkę w objęcia i szepcąc tylko: — Bogu dzięki, płakała rzewnie.

Kapłan rzekł uroczyście:

— Podziękujmy Bogu za niezwykłą łaskę i uwielbiajmy Jego święte imię.

ROZDZIAŁ XXII.

Więzień i jego dozorca

Alojzy nie byłby się tak wbrew swemu zwyczajowi rozgadał z Wernerem, gdyby nie to, że był rzeczywiście podchmielony.

Żałował też później bardzo, że powiedział mu tyle rzeczy i aby więźniowi raz na zawsze odebrać chęć do sprzeciwiania się, postanowił przez 14 godzin zostawić go bez jedzenia i napoju i tak długo postępować, aż złamie zupełnie siłę uporu Wernera.

Hrabia jednak był zdecydowany na to, by pod żadnym warunkiem się nie poddać i raczej zginąć, niż ugiąć się przed wolą dozorcy.

Pierwszego dnia nie czuł głodu ani pragnienia, bo miał jeszcze zimne mięso kilka kromek chleba i trochę wody, a że apetyt miał niewielki, więc mu to zupełnie wystarczyło.



W Tunisie (Afryka) dokonano wyboru miss Europy, którą została Hiszpanka Antonina Arques (w środku). Z lewej strony miss Francja, z prawej mss Tunis.

Niezmiernie długie godziny dnia tego przepędził w męczącym niepokoju. Teraz dopiero poznał, jak straszne jest jego położenie.

Jak długo sądził, że uwolnienie jego zawisło tylko na woli dziadka, spodziewał się, że więzienie jego nie potrwa długo, teraz jednak dowiedziawszy się o śmierci starego Wildensteina zrozumiał, że całe życie swoje przesiedzi w więzieniu, jeżeli się własną siłą nie uwolni.

Domyślił się natychmiast, że jest więźniem z woli Egona, gdyż Egon był jego najbliższym spadkobiercą, wiedział również o tem, że on wiecznie potrzebował pieniędzy i że do ich uzyskania nie przebiera w środkach, zatem i teraz wobec niego nie zawaha się przed niczem, aby objąć jego spadek.

— Dobrze — rzekł do siebie, zgrzytając zębami — a zatem walka na śmierć i życie.

Wiele, wiele godzin upłynęło od czasu, gdy się Werner dowiedział jak sprawy stoją. Nareszcie znowu usłyszał trzask i zobaczył promień światła wpadającego do ciemnicy i u góry nad otworem Alojzego, który zobaczywszy go na jego zaimprowizowanym łożu, rzekł:

— Panie hrabio, albo pan pójdzie napowrót na swoje miejsce, albo nie dostanie pan znowu przez dwadzieścia cztery godzin ani kawałka chleba, ani kropli wody.

— Alojzy — upominał Werner — czyś ty zupełnie zapomniał o dobrodziejstwach, jakich doznałeś od mojej matki, czy tak odwdzięczasz się jej za to wszystko?

Dlaczego ty jesteś moim wrogiem? Czy ja ci kiedy co złego zrobiłem? — Spuść Alojzy drabinę, żebym mógł wyjść z tego strasznego więzienia, a będę ci wdzięczny aż do śmierci.

— Widzę już, że tu się nie da nic zrobić — rzekł Alojzy, poczem znikł i wróciwszy za chwilę spuścił na sznurze koszyk, wołając: — w koszu ma pan pożywienie, niech pan sobie wyjmie, panie hrabio.

Werner nie słuchał tylko obsypywał dozorcę prośbami, żeby go wypuścił, ale Alojzy ani słuchać nie chciał. Z przekleństwem wyciągnął kosz na górę, nie chcąc zostawiać na dole sznura, którym hrabia mógłby się udusić.

Ze złością zatrzasnął drzwi, a Werner został w ciemności i samotności. Nazajutrz Werner poznał po raz pierwszy co to jest głód i pragnienie, bo nie miał już ani okruszyny chleba i ani kropli wody.

— Jeżeli mnie Alojzy tutaj zagłodzi, rzekł Werner, to nikt nigdy się nie dowie, jaką straszną śmiercią zginąłem. Sylwia nie potrafi sobie wcale wytłumaczyć mego zniknięcia — będzie w ciągłej trwodze żyć i trosce i tak jej całe młode życie przejdzie w smutku i żałobie. O, moja słodka Sylwio! Gdyby cię raz tylko jeszcze ujrzeć. Raz tylko ucałować twoje różane usta.

Paroksyzm gniewu chwycił go.

Zakrył twarz rękoma i wybuchł gorzkim płaczem.

Łzy ulżyły jego umęczonemu sercu.

Uspakajał się powoli, wreszcie opanowało go znużenie.

Wyciągnął się na swem łożu i usnął.

Gdy się obudził po długim śnie, uczuł nieznośny głód i pragnienie.

Nie miał jednak nawet chleba, ani kropli wody.

Gorące czoło oparł o zimny kamień, aby sprawić sobie ulgę.

Co byłby dał teraz za szklankę wody!

Przypomniał sobie wesołe źródełka górskie, przepływające strumyki przez jego ziemię i niewypowiedziana tęsknota za czystą wodą ogarnęła go.

— O, gdybym mógł wskoczyć tak cały do zimnej wody! — jęknął.

Zdawało mu się, że w oddali słyszy rozmawiający szum źródła.

Przymknął gorączką spieczone oczy i marzył, że znajduje się nad brzegiem rzeki i jedynem jego pragnieniem jest zanurzyć się w toniach wody.

W największym pośpiechem dążył ku rzece, która jednak coraz bardziej się oddalała, jakby uciekała od niego, wreszcie zniknęła w oddali.

Widział, że jej nie dosięgnie.

Tak gorączkując, spał spokojnie.

Obudziło go otworzenie drzwi spadających.

Wstał i zawołał suchym, ochrypłym głosem:

— Daj mi wody, Alojzy, bo ginę!

— Jeżeli pan hrabia położy się na łóżko, to przyniosę panu wody.

Werner był prawie omdlały.

Spojrzał badawczym wzrokiem na swego dozorcę i poznał, że on był zdecydowany stanowczo go więzić, i że wszelki opór na nic by się nie przydał, byłby daremny i nierozsądny.

Z równym skutkiem mówiłby do ściany i próbowałby wzruszyć kamień, jak serce tego dozorcy.

Nie opierał się więc dłużej, wstał i drżąc, niepewnym krokiem poszedł do łóżka.

Skoro tylko wyciągnął się na łóżku, Alojzy spuścił kratę żelazną, zlazł na kół, posadzkę kamienną starł wilgotnym suknem, pokropił ją octem, żeby oczyścić powietrze i zaopatrzył więźnia bardzo obficie w żywność.

Zdobył się nawet na tyle, że mu zostawił drewniany kubek wódki anyżowej, co było z jego strony wielką ofiarą, bo szczególnie lubił ten trunek.

Załatwiwszy to wszystko, wrócił Alojzy na górę, wyciągnął drabinę i kratę.

Werner zbliżył się do stołu, na którym leżały zapasy żywności, żeby ugasić palące go pragnienie. Potem dopiero spożył kawał pieczeni i chleba zaspakajając głód.

Twarz i ręce umył kilkakrotnie w zimnej wodzie, aby ochłodzić gorączkę i zupełnie wyczerpany na duchu i ciele położył się znowu na łóżku.

Czuł, że grozi mu ciężka choroba, którą sobie ściągnął przeziębieniem.

Wprawdzie położył na kamienie kapy i poduszki i na nich dopiero położył się, ale chłód kamieni ciągnął przez nie do jego ciała.

Cienkie prześcieradło i nie grube sukno nie chroniły dostatecznie od chłodu i wilgoci ciągnących od ziemi.

Chłód i dreszcz wstrząsnął jego ciałem, a gorączka wracała naprzemian. Nie miał zresztą najpotrzebniejszych rzeczy, cóż więc dziwnego, że choroba się wzmagała.

— Może umrę — pomyślał zrezygnowany. — Jeżeli tak, to zginę, modląc się o szczęście Sylwii.

Popadł w niespokojny gorączkowy półsen, który jest oznaką choroby.

Wkrótce zaczął majaczyć, a gdy Alojzy o północy otworzył drzwi, usłyszał dziki śpiew.

— Hej, co to jest — zapytał zdziwiony — czy pan hrabia pił za wiele anyżówki? Albo może tylko udaje, abym nie spuszczał kraty a sam zamyśla wykorzystać moją nieostrożność, aby mnie napaść znienacka.

Jakiś czas był niezdecydowany, czy zejść i oka nie spuszczał z więźnia.

Wkońcu przekonał się, że Werner nie udaje, lecz jest w istocie chory i opanowała go troska o tak kosztowne dla niego życie.

— Tegoby mi jeszcze brakowało — pomyślał — gotów umrzeć. O, na to nie pozwolę! Życie jego warte dla mnie netto 20 tysięcy!

Prędko zeszedł do Wernera, usta mu zwilżył napojem, zwilżył ręcznik w zimnej wodzie i przyłożył go do rozpalonej głowy chorego.

Poświęcił się tak dalece, że całą noc został przy chorym i zmieniał okłady; opuścił go dopiero rano, gdy się gorączka zmniejszyła.

W ciągu dnia kilka razy był na dole, podawał mu napój, kompresy i okłady zimne, a gdy gorączka pod wieczór wzrosła, postanowił znowu całą noc przy nim przepędzić.

Czynności dozorcy chorego spełniał z większą troskliwością i ostrożnością, niż się można było po nim spodziewać.



Jan Kiepura dwa tygodnie temu — poślubił w Katowicach artystkę filmową Marię Egerth. Na zdjęciu nowożeńcy w chwili opuszczenia urzędu stanu cyw.

Wprawdzie nie robił tego z miłości bliźniego, bo to uczucie było mu zgoła obce, — tylko z wyrachowania, ale skutek był ten sam, jak gdyby się był kierował najszlachetniejszymi względami.

Rano pacjent usnął spokojnie.

Alojzy wylazł z podziemia uspokojony.

Tego samego dnia odwiedził go spólnik.

— No, jakże stoi sprawa nasza, przyjacielu? — zapytał.

— Panie baronie — odrzekł kasztelan — w przeciągu kilku godzin zostanie pan spadkobiercą majątku hrabiego Wildensteina. Pan hrabia jest umierający, dostał silnej gorączki.

— Hm — mruknął Egon z szatańskim uśmiechem.

— Jakże moje wynagrodzenie, panie baronie — spytał Alojzy.

— No, mój towarzyszu — odrzekł baron — na razie z kasą moją bardzo krucho, ale skoro mi tylko doniesiesz o śmierci hrabiego, wypłacę ci natychmiast 50 złotych.

— Ach, — rzekł ironicznie Alojzy — pan się pomyliłeś, panie baronie, pięć tysięcy chciałeś pan powiedzieć, ani centa mniej nie przyjmę.

— Już my się pogodzimy — uspakajał go baron. — Co się odwlecze, to nie uciecze. Dostaniesz swoje dwadzieścia tysięcy, co do ostatniego centa i to gotówką, ale nie mogę ci przecież zapłacić, jak długo ich sam nie mam. W tej chwili sumy żądanej nie mam, na to ci daję słowo honoru.

Kasztelan słuchał z ponurą miną.

— Ale może pan mieć — rzekł — jeżeli tylko pan zechce.

Spojrzał na niego pełen nienawiści i złości.

— Pan ma teraz kredyt nieograniczony — ciągnął dalej Alojzy — każdy pożyczy panu chętnie dwadzieścia, a nawet trzydzieści tysięcy złotych.

— Tak ci się tylko zdaje — ofuknął się baron. — Ludzie są bardzo ostrożni w sprawach pieniężnych. Niktby mi nie pożyczył tak wysokiej sumy, jaką jest ta, której ty żądasz. Pytanoby się ze zdziwieniem: Na co panu tyle pieniędzy?

Ludzie często chętniej się zajmują cudzemi sprawami niż swojemi.

Zaraz by kombinowali, robili przypuszczenia i śledziliby, ażby nareszcie wyśledzili i byłbym kompletnie zdradzony.

— A o mnie nawet nie myśli pan — rzekł Alojzy gniewnie.

— Ty sam będziesz się troszczył o siebie, towarzyszu — zaśmiał się Egon.

— Nie mogę brać na siebie zbyt wielkich zobowiązań, gdyż nie wiem, czy nam się sprawa uda szczęśliwie. Jest to fatalizm w najwyższym stopniu, że córka leśniczego była tak odważna i przeszukała cały Czartowski Jar, za tym jest publicznie skonstatowane, że trupa Wernera tam nie ma.

Kasztelan zaklął dziko.

— Ona naprawdę odważyła się na to, by się spuścić do Czartowskiego Jaru? — pytał. — Żyję teraz tak w odosobnieniu od świata, że nic o tym nie słyszałem.

— Tak jest — potwierdził baron — to było śmiałe przedsięwzięcie, ale udało się, a ona teraz rozpowiada wszystkim że trupa jego tam nie ma. Naturalnie ja odpowiadam na to, że on gdzieindziej zginął. W każdym razie ona mi bardzo pokrzyżuje plany, ale ona mi za to drogo zapłaci, — dodał, zgrzytając szatańsko ze złości zębami.

— Ale, że dziewczyna odważyła się na to — dodał Alojzy pełen szacunku dla jej bohaterstwa. Możnaby sądzić, że ona gotowa przeszukać wszystkie niebezpieczne miejsca w całej okolicy.

— Psia krew — klął Egon — tegoby brakowało, żeby ta głupia dziewczyna pokrzyżowała moje plany.

— Słuchaj — zwrócił się do Alojzego — umarli nie powstają z grobu ani nie oskarżają. Czegoż stoisz tutaj?

— Nie rozumiesz — dodał — że cały twój ratunek polega na szybkiem działaniu, — nie pojmujesz mnie?

— O, rozumiem i to bardzo dobrze o co panu się rozchodzi — rzekł Alojzy ponuro. — Nie chodzi o nic więcej tylko o małe morderstwo. Pan będzie ze mnie zadowolony.

— Jeżeli dotrzymasz słowa, nie będziesz miał przyczyny na mnie narzekać — zapewniał baron — ale teraz czas mi już wracać. Zgłoś się do mnie, gdy...

Tu głos uwiązł mu w gardle, jakby mu brak było stosownego wyrażenia — gdy już będzie po wszystkiem.

Wspólnik barona mruknął coś na znak, że się zgadza, a Egon dosiadł konia i pojechał. Naturalnie omijał Czartowski Jar.

ROZDZIAŁ XXIII

Cyganka Ilona

W kilka chwil po wyjeździe barona Egona z Felseg, szła na górę zamkową piękna cyganka.

Nuciła sobie jakąś tęskną piosenkę, urwała jednak, gdy ujrzała kasztelana.

— Ilono! — zawołał uradowany kasztelan — przyszłaś nareszcie?

— Przyszłam — rzekła — żeby zobaczyć, czy brzoskwinia w ogrodzie dojrzała.

Następnie z jakąś złością zapytała:

— Po co ten dureń usiadł tutaj?

— Który? spytał Alojzy ze zdziwieniem — tu nie było nikogo obcego.

— Był przecie ten baron ze zamku — odrzekła Ilona.

— A ty go skąd znasz? — spytał zaciekawiony Alojzy.

— A ktoby go nie znał, przecież wciąż się włóczy, zresztą raz go już tu spotkałam w ogrodzie, czego on tu chce?

— Przyszedł przypadkowo — odpowiedział Alojzy opryskliwie — nic innego przecież nie ma tu do roboty. Czy mówił z tobą?

— Nie, nie widział mnie nawet. Ale chodź do ogrodu, bo mi się zachciewa brzoskwiń.

Podskakując, poszła naprzód, nucąc jakąś rumuńską arię.

— Zamiast śpiewać, powiedz lepiej jakieś mądre słowo — rzekł Alojzy — Kiedyż to masz zamiar mnie poślubić?

— Nigdy — odrzekła.

— A to dlaczego? — złościł się kasztelan.

— Bo kocham swoją wolność i nie chcę być niewolnicą mężczyzny — odparła Ilona namiętnie — znam mężczyzn. Jak długo jest narzeczonym, ubóstwia narzeczoną a z żoną źle się obchodzi.

— Tylko wtedy, jeśli ona na to zasługuje — mówił Alojzy.

— To jest przekonanie głupiego, brutalnego męża — odparła Ilona.

Przybyli teraz na jasną, słoneczną polankę, gdzie szpalerem stały brzoskwinie. Ilona spojrzała na nie okiem znawczyni.

— Jeszcze nie dojrzałe — rzekła — ale te czerwone śliwki są już słodkie.

Potrząsnęła drzewem i pokazując białe zęby, jadła owoce z kokieterią rodowitej Paryżanki.

— Daj mi — prosił Alojzy, wyciągając rękę po owoc, który ona nadkąsiła.

— Nie chcę, — odparła cyganka — sam sobie zrywaj lub otrząsaj, na drzewie jest jeszcze dość.

— Kiedy ja chcę pokosztować tę, którą ty nadkąsiłaś.

— Nie dostaniesz — odparła Ilona, wkładając prędko do ust resztę śliwki. — Po co posyłasz znów Ignacego po chleb i kawę?

— Bo moje zapasy skończyły się.

— Co? Już? Chyba masz gości?

— Od czasu do czasu zaglądnie do mnie jakiś kłusownik — rzekł kasztelan — czasem mieszczanie, którzy urządzają wycieczki w góry, wstępują do mnie. Wtedy to chleb, masło, wędliny i kawa znikają bardzo szybko.

— Dawniej uciekałeś od ludzi — rzekła ze zdziwieniem Ilona, — a teraz wygląda tak, jakbyś chętnie znosił ich towarzystwo.

— Nie dlatego ich przyjmuję, że ich chętnie lubię, lecz dlatego, że potrzebu-

Nie „szary człowiek“ lecz „gospodarny człowiek“

(Z przemówienia prezesa Centralnego Komitetu Oszczędnościowego R. P. d-ra Henryka Grubera, wygłoszonego przez radio w dn. 31 października br. z okazji obchodu Międzynarodowego Dnia Oszczędności).

Okres, na który przypada obecnie Międzynarodowy Dzień Oszczędności, różni się znacznie od lat ubiegłych. Jeszcze do ostatnich czasów nie mówiono o niczym innym jak o kryzysie, dziś zaczyna się mówić o poprawie w przeciwstawieniu do wieloletniej depresji. Coraz oczywistszą staje się konieczność ściślejszej współpracy między narodami, i wskazują na nią nawet państwa, które do niedawna czyniły wszystko, aby możliwości tej współpracy paraliżować. Lecz nie jest jeszcze blisko do jej realizacji. W ciągu ostatnich kilku lat nagromadziło się w poszczególnych krajach tyle zarządzeń i norm, regulujących gospodarkę w ramach narodowych, że trudno byłoby pomyśleć, aby zniesienie barier celnych i przejście do zasad swobodnej wymiany międzynarodowej mogło się obyć bez wstrząsu lub nawet w pewnej mierze katastrofy. Jeśli hasło „sami dla siebie i o własnych siłach“ było uważane przez wielu ekonomistów za frazes, to okazało się, że ono jedynie wytrzymało próbę życia i jedynie ono stało się prawdą. Narody, rozumiejąc potrzebę wymiany międzynarodowej i głosząc jej wolność — równocześnie rozbudowują u siebie warsztaty pracy i jak gdyby nadrobić chciały stracony czas, organizują własną wytwórczość, aby móc potem na równych z innymi prawach wejść na rynek międzynarodowy. Oto powody, dla których mówi się o konieczności zaspakajania potrzeb produktami swojego kraju.

Program tak pomyślany nie da się inaczej przeprowadzić, jak drogą wciągnięcia do jego realizacji najszerszych mas obywateli. Chodzi tu o t. zw. szarego człowieka. Przyłączam się do głosów, że jest nie słuszna nazwa; proponuję, aby nie mówić „szary człowiek“ lecz „gospodarny człowiek“, gdyż głównie o niego chodzi we wszelkich kalkulacjach państwowo - gospodarczych, bo przedewszystkiem gospodarni ludzie mają rzeczywiste prawo do nazwy obywateli; oni tworzą świadomą swej wartości zbiorowość, którą nazywamy społeczeństwem. Otóż gospodarny człowiek, przywołany do realizacji programu budowy ustroju gospodarczego, opartego o walory narodu — z obliczem życzliwie wpatrzonym ku wymianie międzynarodowej, — zdał w większości krajów egzamin. Tam gdzie w zakresie wewnętrznej gospodarki, człowiek gospodarny, rozumiejąc, że ponad błędami góruje zdrowy instynkt, uwierzył w dzień jutrzejszy, batalia o to lepsze jutro została wygraną. Nie martwi nas, że sytuacja międzynarodowa nie uległa poprawie, że zawiera ona więcej elementów nieznanych — niż znanych. Bo właśnie dzięki takiemu zbiegowi rzeczy musimy dobitniej niż kiedykolwiek zrozumieć, że nie może być mowy o rozwiązaniu problemu stabilizacji stosunków gospodarczych w skali światowej, gdy brak porozumienia. Pozostaje nam wobec tego stare niezachwiane prawo: prawo czujności i obrony własnego interesu narodowego. Prawo to spełnić się da jedynie solidarnym wysiłkiem ludzi gospodarnych, stanowiących społeczeństwo polskie, tak, jak czynią gospodarni ludzie, tworzący zbiorowość angielską, amerykańską, stawianą nam tak często jako przykład Proste działanie instynktu samozachowawczego prowadzi do wniosku, że im bardziej kto uniezależni się od drugiego, tym większą będzie w nim budził przychylność i powagę.

Polska jest dotąd krajem małych potrzeb. Producent ma ciasny krąg klienteli: sprzedaje mniej na głowę ludności towarów, koszta produkcji są zatem proporcjonalnie do innych krajów wyższe. Jeśliby produkował więcej — mógłby lepiej opłacać swych robotników miałby więcej odbiorców, a dzięki temu ceny towarów byłyby tańsze. Rozwijanie potrzeb zbiorowych i indywidualnych jest niezaprzeczalnym dla nas interesem. Miarą zamożności nie jest wyłącznie stan posiadania lecz również rozmiar konsumcji towarów, wyprodukowanych w kraju. My w Polsce mało jeszcze wiemy o nadprodukcji i uważamy ją za luksus zagranicy. Trzeba nam więcej butów, więcej ubrań, więcej książek, więcej maszyn. Ale skąd je wziąć? Przecież ich nie przyniesie nikt w podarunku dla 34 milionów ludzi. Przecież żadna różdżka ich nie wyczaruje. Trzeba więc samym wziąć się do roboty. Polacy wtedy odegrają rolę jako światowy czynnik ekonomiczny, gdy na jak najszerszą skalę produkować będą towary dla zaspokojenia własnych potrzeb. Towary polskie nie zwalczą konkurencji na rynkach światowych, zanim produkcja nie wytworzy sobie zbytu w samej Polsce. Dokonać tego dzieła nie da się inaczej, jak przyjmując dla każdego obywatela za naczelne hasło — hasło pracy, a za symbol działań gospodarczych — rzetelność i solidność.

Sami, nie oglądając się na innych, musimy przystąpić do umacniania polskiej siły ekonomicznej. Wsteczny stan naszej myśli gospodarczej sięga setek lat; wciąż jeszcze nędza ma u nas charakter przysłowiowy. Trudno o szkodliwszą i niebezpieczniejszą dla narodu zasadę, jak zasada nie przejmowania się, zdawania się na łaskę losu, słowem — zasada dojutrkowania. Fatalizm, będący cechą ludów o niskim poziomie kultury, jest siewcą zguby. Trzeba go wykorzeniać z charakterów polskich, gdyż inaczej nie pójdzie pełnym biegiem koło, które przez tyle setek lat nie obracało się we właściwym kierunku. Prawo powszechnej gospodarności musi wejść na miejsce staropolskiego „jakoś to będzie“.

Ważną rolę ma tu do spełnienia oszczędność. Nie należy jej identyfikować z programem „zaciskania pasa“. Oszczędność — jak już wspomniałem — to tworzenie zbiorowym wysiłkiem wielkich kapitałów, których celem jest podniesienie siły potencjonalnej narodu i zwiększenie konsumcji polskiej. Tam, gdzie kwitnie wysoka kultura pracy, produkcja osiąga wyżyny, a poziom potrzeb coraz bardziej wzrasta. W ślad za tym wzrostem idzie dobrobyt. Tę kolej rzeczy przypominamy ludziom gospodarczym w dniu oszczędności. Chcemy utrwalić w nich przekonanie że silniejszą ponad zdarzenia i epizody — jest wola istnienia i rozwijania się.

Kasy oszczędności, jako zbiornice wielkich kapitałów, mają do spełnienia doniosłe posłannictwo: krzewienie w społeczeństwie myśli ekonomicznej. Administrując majątkiem milionowych rzesz ludności, dźwigają one odpowiedzialność za dobrą gospodarkę funduszami gromadzonymi pod znakiem zaufania i wiary.



Szalupa niemieckiego statku wojennego „Deutschland" wywozi z Walencji przeciwników rządu madryckiego, którym w mieście tym groziła śmierć.

ję pieniędzy, którymi mi za to płacą.

— A na cóż ci tyle pieniędzy? — spytała Ilona, smacznie zajadając owoce.

— Ażeby się z tobą, Ilono, ożenić — odparł kasztelan.

— Do ożenienia potrzeba dwoje ludzi — mówiła Ilona.

— Właśnie ja i ty.

— To wybij sobie z głowy — odrzekła cyganka — ja za ciebie nie wyjdę.

— A więc kochasz innego? — zawołał dziko, a na czole nabrzmiały mu żyły — przyznaj się, masz kochanka?

— Mogłabym ci odpowiedzieć, że cię to nic nie obchodzi i że nie masz prawa pytać o to — zimno rzekła Ilona. — Nie jesteś moim ojcem, ani moim bratem i przed tobą nie myślę się tłumaczyć z tego, co robię. Ale że jestem w dobrym humorze, to ci powiem, że nie mam kochanka.

— A więc miałaś i on cię zdradził — złościł się Alojzy — jak on się nazywa, ja go muszę zobaczyć, popamięta on mnie dobrze. — Żelaznym drągiem go ściągnę.

— Uspokój się — z ironicznym uśmiechem rzekła cyganka — żaden nie zawładnął moim sercem, a jedyny, którym...

Urwała i zarumieniła się, widząc, że byłaby się zdradziła z tajemnicy.

— No? Jedyna? — zawołał Alojzy, chwytając ją za ramię i trzęsąc nią — powiedz mi, kto to jest, biada mu, gdy się z nim zejdę!

— On nie żyje.

— Co? Nie żyje? — zawołał Alojzy i zamyślił się. Po chwili zerwał się i rzekł:

— Może ci powiedzieć, kto to jest ten jedyny, co ci się był podobał? To jest hrabia Werner!

Ilona krzyknęła zdziwiona:

— Skąd wiesz?

— Skąd wiem? Nie trudno się było domyśleć. Z tych, co umarli tego roku w naszej okolicy, to ani kulawy krawiec, ani ten mały chłopak, który niedawno zleciał ze skały i zabił się, nie mogli ci się podobać, a więc nie zostaje nikt inny, jak tylko hrabia Werner. Więc to on tak słodko przemawiał do ciebie?

— A jakże... przemawiał... — odparła Ilona — panu hrabiemu nie pasuje przemawiać do dziewki cygańskiej i on dobrze wiedział o tem, dlatego wcale na mnie nie patrzył.

Ale podejrzliwy Alojzy i w tej chwili prawdziwą nienawiścią zapałał do nieszczęśliwego hrabiego Wernera, jako do szczęśliwego rywala w pozyskaniu względów Ilony.

— Teraz rozumiem twoją obojętność — mówił dalej z goryczą — naturalnie, że ja nie mogę się zmierzyć z takim rywalem, jak hrabia Werner, a to pochlebca szelmoski, a to łotr!

— Fe, Alojzy, nie godzi się tak mówić o ludziach umarłych.

Alojzy rzucił na nią spojrzenie pełne złości.

— Kto ci mówił, że on nie żyje już? — zawołał gniewnie.

— Wszyscy mówią — odpowiedziała ze smutkiem, a potem z gorączkowym naprężeniem zapytała:

— A może to nieprawda? Może on żyje?

— Ależ nie, nie, on nie żyje — odparł prędko kasztelan.

Spojrzała na niego bacznie i dziwnem się jej wydawało zarówno to pierwsze jego pytanie, jak i teraz ta odpowiedź. Nie mogło się w niej zrodzić podejrzenie, że on coś więcej wie o Wernerze, a jednak postanowiła go śledzić. Żeby się atoli z tem nie zdradzić, zaczęła obojętnie jakąś rozmowę, przyczem zbierała owoce do fartuszka.

Następnie odeszła, żegnając go przyjaznem skinieniem głowy.

Zostań jeszcze trochę, moja Ilono — prosił ją Alojzy.

— Nie mam czasu — rzekła i jak sarna znikła szybko w krzakach.

— A jednak będziesz moją — tylko cierpliwości trochę.

ROZDZIAŁ XXIV

Konkury

Ada, hrabianka Dornbruch, była rozpieszczoną jedynaczką nierozumnych rodziców, którzy jej nigdy niczego nie odmawiali i spełniali każdą jej najlżejszą zachciankę. Miała lat 21, nie znała jednak życia.

Troska, praca, trud i niedostatek, znane jej były tylko z imienia. Wiedziała, że na świecie są ludzie biedni, ale wydawała olbrzymie sumy na stroje, przyjemności i zbytki, każdego centa zaś byłaby żałowała, gdyby go dala biednym.

Piękna, bogata, pochodząca ze starej szlachty, miała wielu konkurentów, ale żaden jej się nie podobał.

Przebierała jak każda bogata panna i każdemu z konkurentów dawała kosza.

Egon baron Szturmfeder, od dawna był jej gorączkowym wielbicielem, a ona przyjmowała jego jawną adorację jako należny jej hołd, ale byłaby to uważała za zuchwałość, gdyby się jej był oświadczył, jak długo nie miał nic, prócz tytułu barona.

Teraz jednak stosunki się zmieniły, gdyż Egon stał się spadkobiercą wielkich włości i śmiało mógł podnieść oczy na hrabiankę Dornbruch. Zresztą piękna Ada uważała z tłumionym gniewem, że jakoś coraz mniej ma adoratorów. Nie była więc od tego, że Egon jej nadskakiwał i łaskawie go przyjmowała, a ten zdobywca serc niewieścich i lew salonowy zachowywał się w sposób iście czarujący.

Pewnego razu wieczorem, gdy garderobiana czesała jej włosy na noc — rzekła Ada do matki z lekkiem ziewaniem:

— Wie mama, że baron Szturmfeder nie jest brzydki. Ella i Bianka są młodsze odemnie, a już są zaręczone. Narzeczeństwo to tylko właściwie mała zmiana, a mnie się nudzi, tak wciąż żyć jednostajnie.

— A więc chcesz powiedzieć — zawołała stara hrabina uradowana — że przyjęłabyś Egona.

— Tego nie mówiłam — odpowiedziała rozpieszczona dziewczyna — może to być, ale jeszcze zależy od wielu rzeczy.

Marto — zawołała gniewnie na garderobianę — ile razy mówiłam, żeby mi nie zaplatać tak mocno włosów. Ta nieznośna, nigdy nie zapamięta, co jej się powie.

Wie mama, on jutro będzie u Hardenfelsów, na tej wycieczce w lesie. Żeby tylko deszcz nie padał. Moja nowa suknia jest prześliczna, byłoby szkoda, gdybym jej nie mogla włożyć.

Rozmawiając żywo o sukni z Paryża, zapomniały zupełnie o Egonie.

Nazajutrz była śliczna pogoda a hrabianka Ada w paryskiej sukni rzeczywiście wyglądała cudnie.

Miała suknię z indyjskiego muślinu, ozdobioną porozrzucanemi liśćmi paproci, a w delikatnej materii haftowane były jedwabiem bukieciki pełne wdzięku. Kapelusz był biały, ozdobiony również kwiatami. Parasolka biała jedwabna, również haftowana w kwiaty.



Scena z filmu, „student - żebrak", który cieszy się ostatnio wielkimi sukcesami na wszystkich ekranach europejskich. bohaterką filmu jest urocza artystka — Carola Höhme.

Marcie, biednej garderobianie przypadło w udziale niewdzięczne zadanie pomagać hrabiance przy ubieraniu się.

To była ciężka praca.

Nic się pani nie podobało, co Marta robiła.

Powiedziała jej, że jest zupełnie niezdolna, i że jej się tylko zdaje, że podoła obowiązkom garderobiany, że ma gorące ręce, sapie nieznośnie, chodzi jak grenadier i Bóg wie co jeszcze.

Nakoniec praca ubierania była skończona.

Marta zapięła ostatni guzik na długich rękawiczkach.

Hrabianka przejrzała się w lustrze, a na jej ustach był uśmiech zadowolonego uczucia próżności.

Przeczuwała już, jakie triumfy zbierać będzie i podniesioną głową, szumiąc jedwabiami, zeszła po schodach.

Marta obejrzała się dokoła.

W pokoju był straszny nieład.

Wstążki, wstążeczki, rękawiczki były wszędzie porozrzucane, szkatułka z perfumami otwarta, puszek do pudru leżał w puszce, chiński sztyfcik na ziemi.

Gdyby hrabianka była więcej uprzejma i grzeczna dla mnie? Jeszcze dobrego słowa nie usłyszałam od niej — myślała Marta i z ciężkim westchnieniem wzięła się do sprzątania.

Słyszała jeszcze jak ruszył powóz i jej państwo odjechali.

— I ja jestem młoda i zdrowa — szeptała sobie — dlaczego mam tak mało radości w życiu. Kto mi kiedy sprawia jaką przyjemność, kto pyta się, czy jestem chora czy zdrowa, wesoła, czy smutna? O mnie nikt się nie troszczy. O, smutno każdemu człowiekowi samemu, lecz stokroć smutniej samotnej kobiecie.

Usiadła na krześle, zakryła twarz rękoma i płakała gorzko.

— Co ci jest moja kochana panno — zapytał jakiś głos ze współczuciem i czarna, silna ręka spoczęła na jej ramionach.

Płaczące dziewczę spojrzało w górę. Przed nią stał ogrodnik, który jeszcze raz powtórzył pytanie.

Marta wstała i znowu zaczęła sprzątać.

— Ach, to pan — rzekła rumieniąc się — ja jestem zmartwiona, bo jaśnie panienka dla mnie zawsze taka niedobra. Ciągle mnie łaje. Ale skąd pan się tu wziął?

— Chciałem zobaczyć palmy, znajdujące się w buduarze hrabianki. Mój chłopiec zauważył dziś rano przy podlewaniu, że źle są umieszczone — odpowiedział ogrodnik swobodnie, siadając na aksamitnem krześle. — Niech pani siądzie, panno Marto, pogawędzimy sobie trochę.

W niedzielę odpust, może pani pójdzie ze mną. Od kiedy pani tu jest na zamku, nie miała pani żadnej przyjemności. Ja sądzę, że hrabianka chyba da pani tak krótki urlop.

Oczy dziewczyny przed chwilą jeszcze pełne łez, błyszczały teraz radością.

— Ach, to będzie cudownie — zawołała klaszcząc w dłonie — ale czy tylko pozwoli — dodała trwożnie.

Musi pozwolić — odrzekł ogrodnik stanowczo — a to byłoby dopiero ładnie, gdyby takie młode stworzenie jak pani, żyło w takiem odosobnieniu, jak w klasztorze!

Czas najwyższy, żeby się pani trochę zabawiła! Widziała pani już moje nowe róże?

— Jakie to?

— Róża prawie całkiem czarna — odrzekł ogrodnik — jest to bardzo piękna róża, ale pani, panno Marto, jest ładniejsza od niej.

O, niech się pani tak nie rumieni i nie robi takich zagniewanych oczu! Nie schlebiam, lecz mówię najszczerszą prawdę, że pani jest piękna, jak obraz.

— Pan żartuje! — mówiła Marta.

— Wcale nie! — zawołał ogrodnik — pani jest najlepsza, najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek znałem i żadna inna, tylko pani będzie kiedyś moją żoną.

Marta aż krzyknęła ze zdziwienia, potem spojrzała na tego okazałego mężczyznę błagalnym wzrokiem i prosiła drżącym głosem:

— Niech pan ze mną nie żartuje. Ja nie mam nikogo na świecie, do kogobym mogła uciec się z mojem cierpieniem, jeżeli mnie pan oszukuje. Ojciec i matka mi pomarli, a moja jedyna siostra Mola, gdzieś się zapodziała. Nie wiem nawet, gdzie jest i co się z nią dzieje.

— Czyście się posprzeczały — spytał ją ogrodnik.

Marta zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie było nawet sposobności — mówiła. — Mała była we Wiedniu i zarabiała sobie na życie modniarstwem, a ja byłam tu na posadzie.

Mała poznała się z pewnym młodzieńcem, który był właścicielem małego składu papieru, zaręczyła się z nim a ja przygotowywałam już sobie suknie, jako drużka, gdy właśnie otrzymałam list, w którym mi pisze, że wesela nie będzie, że zerwała z narzeczonym i idzie za popędem serca.

Od tej pory nie miałam od niej żadnej wiadomości, a obydwa listy, które po tym do niej pisałam, wróciły z nadmienieniem, że adresatki nie ma. Zawsze na płacz mi się zbiera, gdy o niej pomyślę, bo zdaje mi się, że sama sobie nieszczęście ściągnęła.

— Tak źle pewnie nie będzie — odrzekł ogrodnik. — Mała nie jest pierwsza, która zrywa z narzeczonym. Widocznie, że się jej któryś inny lepiej podobał. A teraz słuchaj, moja luba, jakby to było, gdybyśmy się tej jesieni pobrali?

Ja nie lubię długo czekać od zaręczyn, a tobie tu naprawdę wcale nie na różach posłane, żeby ci było trudno rozdzielić się z hrabianką.

— O Boże, nie, wcale nie — przerwała mu Marta śmiejąc się. — Nie uroniłabym za hrabianką ani łezki.

— A więc zgoda — powiedział ogrodnik bardzo zadowolony. — Podziękuj więc hrabiance jutro rano za miejsce, proś ją, aby cię uwolniła, skoro tylko dostanie kogoś na twoje miejsce, abyś miała dość czasu pomyśleć o swojej wyprawie.

Chociaż wypowiedział te słowa jak najserdeczniej, przecież Marta się rozpłakała. Jej kochanek objął ją ramieniem i zapytał troskliwie:

— Co cię tak nagle zasmuciło, moje kochanie?

— Ach — zaczęła Marta łkając — ja jestem tak biedna, tak bardzo biedna. Nie mam środków, aby sobie choćby najskromniejszą wyprawę sprawić. Gdybyś się ze mną ożenił, weszłabym do twego domu z próżnemi rękoma. a twoi krewni lekceważyliby mnie z tego powodu.

— Ale dla mnie jesteś tak bardzo pożądaną — zapewniał, całując ją serdecznie — a ludzie nic o niczem nie wiedzą. Ja mam kilkaset złotych i całkiem naturalne, że ci je dam, abyś sobie mogła sama wszystko wybrać wedle upodobania.

Promieniejąc radością, objęła go za szyję i dziękowała mu tysiąckrotnie. On obsypywał ją pieszczotami, nazwał ją małą, słodką narzeczoną i oboje czuli w tej chwili, że łączy ich najczystsza i najgłębsza miłość.

Ciąg dalszy nastąpi.

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

7)

Niebezpieczny Gość

Powieść

W następnej chwili ruchem dżentelmena sięgnął za kapelusz.

Teraz zdumienie ogarnęło Zdzisława.

— Kazik?! — wyrwało się mu mimowoli.

W nieznajomym młodzieńcu poznał kolegę z ławy szkolnej i przyjaciela.

Wejrzawszy na Irenę, opamiętał się szybko. Nie był sam przecież. Wymienił z dawnym kolegą porozumiewawcze spojrzenie i dawszy mu jakiś znak — minęli stojących.

W milczeniu uszli kilkanaście kroków.

— Ten brunet, to pana znajomy? — zapytała Irena.

— Kolega z ławy szkolnej — odparł Zdzisław, nie ochłonąwszy jeszcze ze zdumienia. — Nazywa się Kazimierz Szperacki i jest prawnikiem z wykształcenia, a dziennikarzem z zawodu. Nie pojmuję jakim sposobem trafił do tej miejscowości...

Irena ukradkiem spojrzała poza siebie. Młodzieniec stał na dawnem miejscu i oczy miał zwrócone w jej stronę. Nie odwracając głowy, pytał się coś swego starszego towarzysza. Nie trudno było się domyślić, że pytania te musiały dotyczyć jej osoby.

— Ładny chłopiec — zaśmiała się.

Zdzisław utkwił w niej badawcze, jakby pytające spojrzenie.

— Tak pani sądzi?... Rzeczywiście, przy tym bardzo dobry chłopak. Może przy sposobnej okazji poznam go z panią?...

Mimo tak nieoczekiwanego spotkania, nie uszedł jego uwagi zachwyt, malujący się w oczach młodego dziennikarza, któremi ten odprowadzał przechodzącą dziewczynę.

Irena była trochę mniejsza od Janki, ale jej postać miała tę samą giętkość i wspaniałe linje.

Uśmiechnął się.

— Zachwycił się panią, uważałem to dobrze... Ręczę, że gotów zakochać się w pani aż do szaleństwa.

Irena śmiała się filuternie.

— O, przesadza pan. Ja nie widziałam tego.

Zdzisław utkwił w niej przenikliwe oczy z wyrazem trochę szatańskim.

— Rekuza? — zapytał.

— Oczywiście.

— Dlaczego?...

— To moja tajemnica. Ale... ale dlaczego dawał mu pan jakieś znaki?

— Wyznaczyłem mu na dzisiaj spotkanie.

Jednak Irena naprawdę zainteresowała się młodym dziennikarzem. Z ciekawością poczęła wypytywać się Zdzisława o bliższe szczegóły dotyczące osoby Kazimierza Szyperackiego. Rozmowa potoczyła się żywo, swobodnie i zajęła ich zupełnie.

Dopiero wołanie z tyłu przerwało rozmowę.

Przystanęli i obejrzeli się równocześnie. Wołał ich pan Krański.

— Wujek i pan Tulczyński nie mogą za nami nadążyć — zawołała Irena.

Tak też było w istocie. Pan Krański i Tulczyński ciągle przyspieszali kroku, ale mimo tego przestrzeń między nimi, a Ireną i Zdzisławem zwiększała się ciągle. Zawołał więc, aby nieco zwolnili, ale młodzi ludzie tak byli zajęci rozmową, że go nie dosłyszeli. Dopiero kiedy powtórzył wołanie, przystanęli.

— Zaczekamy za nimi — rzekł Zdzisław.

A kiedy tamci się zbliżyli, rzucając literatowi szydercze spojrzenie, wyrzekł:

— Zapomnieliśmy zupełnie o tem, że stare nogi nie mogą nigdy dorównać młodym...

Tulczyński błysnął oczyma.

— Stare? — powtórzył z oburzeniem.

— Ach, przepraszam — rzekł wesoło Zdzisław. — Zapomniałem, że pan należy do... młodych. Ale nie chciałem pana dotknąć — broń Boże! Tylko, że zarost dodaje panu powagi, no i lat...

Irena śmiała się w kułak.

Tulczyński tylko zacisnął pięści. Postanowił sobie, że przy nadarzającej się okazji, odpłaci Zdzisławowi za to „zapomnienie" o jego wieku.

Tymczasem w czworo ruszyli w dalszą drogę.

Rozdział VII.

MARZENIA ZAKOCHANEJ

Janka skłamała mówiąc Irenie, że tylko z powodu bólu głowy nie chce wziąć udziału w wycieczce. W rzeczywistości powód był zupełnie inny. Jaki? — Dowiemy się od niej samej.

Zaledwie Irena wybiegła z pokoju, Janka zerwała się z krzesła i przylgnęła twarzą do szyby. Z okna widziała doskonale stojących przed willą mężczyzn i mogła ich dobrze obserwować. Czekała długą chwilę.

— Gdzież ta Irena tak długo się wałęsa? — przez głowę Janki przebiegały niecierpliwe myśli. — Dlaczego nie wychodzi?... Co powiedzą panowie? Jakie wrażenie sprawi na „nim" wiadomość, że nie weźmie udziału w wycieczce?...

Wreszcie ujrzała wybiegającą na taras Irenę. Widziała, jak rozmawiała z jej ojcem. Irena musiała opowiadać o niej, gdyż w tej chwili na twarzach mężczyzn odmalowało się najwyraźniej zdziwienie.

Z obawy, aby jej nie dostrzeżono ze dworu, Janka odsunęła twarz od szyby, obserwując w dalszym ciągu z poza firany.

Ach, jakże przygnębiające wrażenie na Zdzisławie sprawiła wiadomość o uchyleniu się jej od uczestnictwa w wycieczce! Uśmiechnięta twarz posmutniała nagle i pobladła, brwi ściągnęły się ponuro. Nie był to jednak płaczliwy wyraz oblicza, zawiedzionego w uczuciach, młodzieńca, ale znać było na niem ból i jakby lekkie rozczarowanie.

Zabolało cośkolwiek serduszko Janki. Zdzisław cierpiał z jej powodu!...

Wnet jednak roześmiała się cicho.

— A niech cierpi, niech teraz rozpacza — szepnęła. — Przynajmniej zapamięta sobie, że ze mną nie można bezkarnie postępować tak obcesowo...

Zatym taki był powód ignoracji młodzieńca i uchylenia się jej od wzięcia udziału w wycieczce: postępowaniem swojem pragnęła ukarać Zdzisława za, według niej, zbyt obcesowe zachowanie się na korytarzu, czyli za — wczorajszy pocałunek!...

Ale tymczasem wycieczkowicze ruszyli w drogę i Janka odprowadzała ich tęsknem spojrzeniem. Dobrowolnie wyrzekła się tej romantycznej wycieczki, a choć jej postępek był podyktowany pewnemi, mogącemi przynieść korzyść, względami, to jednak nie uczyniła tego z lekkiem sercem. Niech nikt nie myśli, że to sprawia przyjemność wyrzec się wrażeń długiego spaceru w miłem towarzystwie, a w miejsce tego, siedzieć samotnie choćby w malowniczej willi.

Więc nie dziwmy się, że młoda dziewczyna długo spoglądała za oddalającymi się. Widziała, jak Irena wywołała naprzód Zdzisława i jak po tym wsparła się poufale na jego ramieniu...

Zrobiło się jej markotno jakoś na sercu. Czyżby była zazdrosną?

Długo stała przy oknie z oczyma zwróconymi na drogę, ciągnącą się wzdłuż brzegu jeziora. W jej głowie myśli wirowały bezładnie, a duszę ogarniał jakiś tajemniczy smutek, którego przyczyny nie pojmowała.

Zagłębiła się w wygodnym krześle. Przed rozmarzonymi oczyma przesunęła się elegancka postać młodzieńca. Przymknęła powieki, lecz mimo tego

wciąż widziała błyszczące piwne oczy, takie wyraziste, że aż strach.

— Zdzich!... Zdzisiek... — westchnęła pieszczotliwie.

Dźwięk przytłumionego głosu wrócił jej przytomność. Zerwała się na równe nogi i zaczęła przechadzać się po pokoju.

— Doprawdy śmieszną jestem z temi marzeniami — mruknęła, przeciągając się leniwie. — Stanowczo za silnie działają na mnie te piwne oczy! Przejdę się po ogrodzie, to mi wróci równowagę ducha...

Wyszła na korytarz. Przebyła go sprężystym krokiem, nie zauważywszy we framudze okna stojącego lokaja.

Franciszek przeprowadzał ją oczyma, które szkliły się dziwnie. Malował się w nich podziw, połączony z zadowoleniem.

— Jaka z niej ładna dziewczyna — mruczał lokaj. — Nie widziałem drugiej takiej... Co za kibić!... A co za wspaniałe linie postaci!!

Janka przebywała w ogrodzie całą godzinę, pieszcząc oczy widokiem ulubionych kwiatów. Kiedy wracała ciągnącym się wzdłuż płotu gankiem, spostrzegła, że aleją nadbrzeżną zdąża jakaś kobieta. Gdy się zrównali, Janka poznała panią radczynię, mieszkankę pobliskiego miasteczka. Znały się trochę z widzenia.

Była to kobieta okazała, wspaniałej tuszy i bardzo obrotnym języku. Ujrzawszy Jankę, zbliżyła się do płotu.

— Bon jour, mademoiselle! — zawołała na powitanie. — O, co ja widzę... To wszyscy poszli na promenadę, a panią samą zostawili w domu?

— Cóż miałam robić — zaśmiała się Janka. — Nie chciano mnie wziąć z sobą...

— E, pani chyba żartuje? Ci dwaj młodzi panowie, to przecież bardzo przystojni, oraz inteligentni ludzie, a pani taka młodziutka i urodziwa...

Jankę zdziwiły takie słowa. Poczuła w sobie chęć powiedzieć jej coś nieprzyjemnego, ale wstrzymała się.

— Jak się pani w tym roku podoba nasze letnisko? — zapytała, aby coś powiedzieć.

Pani radczyni uniosła w górę wąskie brwi.

— Letnisko?... Hotel nie najgorszy, ładna okolica, plaża... słowem wszelka wygoda. Ale wie pani? Właściwie to tegoroczny sezon mieliśmy spędzić w jakiem sławnem uzdrowisku, lecz ja postawiłam stanowcze weto. Zdołałam przekonać Antosia, niby mego męża, że najlepiej będzie, gdy i w tym roku pozostaniemy tutaj. Bo widzi pani — zrobiła tajemniczą minę. — W uzdrowisku o krajowej sławie musielibyśmy zamieszkać w jakim pensjonacie, a tam wciąż jest rojno i nigdy nie brak młodych kobiet...

— Pani obawia się młodych kobiet? — zażartowała Janka.

— Ja?... Fi donc! Jeszcze by też! — oburzyła się na takie przypuszczenie. — Ale wśród kobiet nie brak takich... pani wie... a mój mąż ma głupi zwyczaj uśmiechać się, oczywiście bez żadnych intencyj, do kobiet, a one mogłyby zaraz myśleć, że...

Urwała naraz, napotkawszy śmiejący się wzrok panny Krańskiej.

Dziewczyna z trudem tylko wstrzymywała się od śmiechu. W żaden sposób nie mogła sobie wyobrazić poważnego pana radcę, uśmiechającego się do młodych i nieznanych kobiet. Z tych paru słów wywnioskowała, że pani radczyni musi być ogromnie zazdrosna o swego męża.

Janka nie miała jednak ochoty na dalszą pogawędkę. Poczęła przemyśliwać jakby tu uwolnić się od jej towarzystwa, gdy pani radczyni obejrzała się niespokojnie i zawołała:

— O, muszę już iść. Antoś nie wie, gdzie jestem, a mógłby pomyśleć, że nie wrócę prędko i mógłby wymknąć się na plażę. Mon Dieu! Niech by się on poważył! Pokazałabym jemu!... Zatym dowidzenia pani. Porozmawiamy więcej innym razem. Adieu chère mademoiselle. Au revoir...

Skinęła ręką i z szybkością nie licującą z poważną tuszą, podążyła aleją. W ruchach jej było coś tak komicznego, że Janka parsknęła śmiechem. Na szczęście, pani radczyni nie mogła już tego dosłyszeć.

Janka powróciła do willi. Na korytarzu przystanęła. Było to miejsce, na którym wczoraj ON ukradł pocałunek. Drgnęła i przymknęła oczy. Przed nią przesunęła się postać Zdzisława... na ustach czuła żar jego wczorajszego pocałunku!... Oblały ją jakieś gorące fale, a serce, głupie serce, biło szybko, coraz szybciej...

Trzask zamykanych drzwi oprzytomnił ją. Westchnęła głośno i, przesunąwszy ręką po rozpalonem czole, udała się do swego pokoiku.

Pod wpływem ostatniego wrażenia myśli bezładnie wirowały po głowie, a duszę ogarniało dziwnie tajemnicze i tęskne uczucie, którego nie pojmowała, a które ją przestraszało.

Osunęła się na krzesło. Wsparła główkę na dłoniach i zatopiła się w myślach. Poczęła marzyć...

Nie muszą być jednak smutne i przykre te marzenia, bo nawpół przymrużone oczy dziewczyny błyszczą niezwykle, a koło drobnych, koralowych ustek igra powabny uśmiech zadowolenia.

O czemże może marzyć młoda dziewczyna, że od czasu do czasu uśmiecha się zagadkowo, oczy jej lśnią coraz żywszym blaskiem, a nawet pierś wznosi się wyżej, niż zwykle?

Nie trudno odgadnąć. Bo o czemże najczęściej marzą młode panienki, jak nie o chłopcach i miłości?...

I Janka myślała w tej chwili o Zdzisławie. Już dawno spostrzegła, że na umyśle młodzieńca zrobiła duże wrażenie. Widziała dobrze, że kiedy zwracał się do niej, głos jego drżał zawsze jakiemś, dla niej tylko zrozumiałym, wzruszeniem, a oczy zapałały się znanym blaskiem. Z każdego spojrzenia młodzieńca bije dla niej cześć jak dla bóstwa... ON ją naprawdę kocha!

A ona?...

Poczęła rozbierać w myśli różne szczegóły zaobserwowane od chwili ich poznania i przekonała się, że w jej sercu powstało coś więcej, niż przyjaźń dla młodego człowieka. Zastanowiła się nad tym uczuciem, poddała je analizie i wreszcie doszła do przekonania, że i ona naprawdę — kocha...

Przypomniały się jej słowa Ireny, wypowiedziane w czasie, gdy zwierzała się jej ze swego „dziwnego uczucia" do Zdzisława: „To dziwne twoje uczucie dla młodego człowieka nie nazywa się przyjaźnią, ale miłością!"

I rzeczywiście... Jaka z tej Ireny mądra dziewczyna. Zrozumiała to prędzej, niż ona sama.

Kochała więc Zdzisława...

Świadomość ta wywoływała w niej dziwny niepokój, ale w tym niepokoju czuła się naprawdę szczęśliwą.

Kochała i była kochaną!

W bujnej wyobraźni odtwarzały się sceny, które przejmowały dreszczem nieznanej dotychczas rozkoszy... Ona i Zdzisław znajdują się gdzieś wśród pachnącej zieleni. ON tuli ją do swej piersi i całuje jej oczy... usta... Chce delikatnie odsunąć go od siebie, wyciąga więc rękę i... chwyciła za poręcz, obok stojącego, krzesła! Otworzyła oczy — Zdzisława nie było.

Westchnęła mimowoli.

Gdyby teraz zjawił się przed nią i ucałował gorącemi ustami jej usta, nie broniłaby się wcale. Nie uciekłaby tak, jak wczoraj na korytarzu i nie gniewałaby się na niego... o, nie!

Wczorajsze i dzisiejsze postępowanie względem Zdzisława wydawało się jej teraz niedorzeczne, a nawet śmieszne. Nie mogła zrozumieć dlaczego wczoraj traktowała go tak lekceważąco...

A może... a jeśli Zdzich będzie żywił dla niej urazę za manifestacyjną ignorancję jego osoby?...

(Ciąg dalszy na stronie 865

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

POŻEGNANIE GŁODU

Bardzo dawno straciłem wątek
Naszych rozmów, mój przyjacielu:
Ty pamiętasz — o wpół do piątej
Jużeśmy obaj milczeli.
Potem wielkim jechałeś wozem,
Chłopskim wozem, po chłopskich drogach
I zapytać ciebie nie mogłem
Czemu trumna taka uboga?
Drzwi zamykam teraz na głucho,
Noc pod drzwiami skamle i stoi —
Jedną krzepi serce otuchą,
Że się głodu dzisiaj nie boisz.
Nie pójdziemy już nigdy więcej
Chleba szukać i prosić ludzi.
Masz skostniałe wychudłe ręce,
Ze snu swego już się nie zbudzisz.
Twoje książki leżą w szufladzie.
Niepotrzebne teraz, niczyje.
Już po włosach mnie nie pogładzisz
Ojcze dobry, który nie żyjesz.

PISZ DO MNIE, A NIE ZAWIEDZIESZ SIĘ...

„Baśka z pod Koła". Jesteś smutną, ale dobrą dziewczynką, „Baśko" — niech Ci to wystarczy. Natury swojej nie zmienisz, to prawda, ale niepotrzebnie tym się martwisz. Zostań taką, jaką jesteś, a dla tych, którzy Cię nie rozumią, miej dużo pobłażania, nie każdy bowiem potrafi wczuć się w położenie drugich, i znaleźć zrozumienie dla obcych smutków. Pisz do mnie, „Basiu", jak najczęściej! Pragnę być Twoją przyjaciółką i powierniczką wszystkich Twoich cichych myśli. Spowiadaj mi się z nich szczerze, ilekroć będziesz miała ochotę, napewno nie zawiedziesz się.

A teraz zamieszczam Twój liścik, „Basiu" który nam powie coś niecoś o Tobie:

„Życie moje płynie jednostajnie z dnia na dzień. Nieraz jestem wesołą, częściej jednak smutną. Może dlatego, że mało doznałam dotychczas w życiu radości. Nie lubię zabaw. Wolę iść cichym wieczorem na samotną przechadzkę, niż tańczyć w zadymionym lokalu. Dziwią mi się z tego powodu matka i siostry moje, nie rozumią mnie zupełnie, a nawet mają mi to za złe. Przyjmuję to wszystko pozornie z spokojem, ale nieraz pytam siebie dlaczego nie jestem inną. Dlaczego, zamiast pójść na zabawę z siostrą, wymykam się z domu i idę pomiędzy płaczące brzozy i skarżę im się, dlaczego?...

Oj! widzę, że za dużo rozpisałam się, jak na pierwszy raz, pozdrawiam więc na zakończenie „Szarą Mgiełkę" i „Srebrną Mgiełkę" i zapytuję te Panie, czy nie zechciałyby ze mną korespondować.

Pozdrawiam również „Smutnego Edka" i „Majowego Chrabąszcza" i tak samo proszę ich o nawiązanie ze mną korespondencji.

Dla wszystkich Sympatyczek i Sympatyków załączam mocny uścisk dłoni".

KORESPONDENCJA

„Marzyciel z nad Noteci" pragnie nawiązać korespondencję z miłą, wesołą osóbką, któraby w jego monotonne, pracowite życie wniosła nieco radośniejszych promieni.



Gorliwe Czytelniczki „Moich Powieści", wraz z swoim czworonożnym przyjacielem — Rexem — przesyłają nam z cichego dworku na Pomorzu, pozdrowienia i moc serdeczności.

POZDROWIENIE Z NAD DNIESTRU

„Wa — La". Przesyłam Pani na dalekie kresy Polski, najserdeczniejsze pozdrowienia i uściski. List Pani, bardzo miły i treściwy, pozwalam sobie niżej przedrukować:

„Jedyną i najmilszą rozrywką dla mnie są „Moje Powieści". Z utęsknieniem czekam co tydzień na nie i skrupulatnie przeglądam „Krainę" czy nie ma w niej coś dla mnie. Zwykle spotyka mnie zawód, ale nie przejmuję się tym zbytnio, bo przyzwyczaiłam się już w życiu do zawodów. Nieubłagany los przerzucił mnie z ukochanych równin Wielkopolski, na dalekie, wschodnie kresy. Chociaż dobrze mi tutaj, to jednak kieruję nieraz moje oczy, pełne łez, na zachód i posyłam tam wszystkie najserdeczniejsze myśli...

Hallo! „Tereniu z pod Wrześni"! Czy często bywasz we Wrześni i co tam nowego? Przyjm uściski i pozdrowienia z nad Dniestru i skreśl, proszę, do mnie kilka słów. Odpowiem Ci chętnie!

„Biała Uajali"! Miły był pobyt na wakacjach, prawda? Dziękuję Ci za śliczne wiersze! Przeżywam to samo, co Ty przeżywałaś w początkach. Przyjm ode mnie siostrzany uścisk!

Na zakończenie zasyłam pozdrowienia dla: „Czarnego Olka" — „Lakoniczka" — „Gentelmana" — „Hiacenta" i „Erosa". „Syna Dniestru" i „Bluszcz z Wołynia" proszę o liściki. Czekam na nie z utęsknieniem"...

LIST „SAMOTNEJ KONWALJI"

„Samotna Konwalja". Droga Pani Ado! Przed chwilą skończyłam czytać Pani list. Znalazłam w nim ogromnie dużo szczerości i wielkiej prostoty, pomimo, że porusza Pani tak poważne sprawy, jak cele życia ludzkiego i doniosłości powołania klasztornego. Zgadzam się w zupełności z zapatrywaniami Pani. Gdybym rozporządzała większą ilością miejsca w „Krainie", oddałabym chętnie cały list Pani do przedruku, ponieważ jednak tego uczynić nie mogę, zamieszczam chociaż tę część listu, którą przeznaczyła Pani dla Sympatyków:

„Drodzy Sympatycy! Już dwa lata należę do naszej wielkiej „Rodzinki", a dotychczas nie przedstawiałam się jeszcze. Czynię to dopiero dzisiaj i to na prośbę licznych Sympatyków. Otóż jestem sobie zwykłą śmiertelniczką — Kaszubką. Liczę 23 lata. Lubię dużo pracować, a mało spać. Posiadam niebieskie oczy, blond włosy, arystokratyczny nos i muskularne ręce. Lubię bardzo słodycze. Hasło moje to: „ora et labora". Może ktoś zainteresuje się mną?...

Proszę o skomunikowanie się ze mną sympatyków z Gdyni, Wejherowa i Kartuz.

Dziękuję za pozdrowienia „Akri" — „Konwalji" — „Wirrytowi" i „Ortohlazowi". Napiszę do Was wkrótce!"

BÓG PRZYJDZIE...

Zamarło już serce
I wszystko dokoła,
Wnet dusza w rozterce
Do Boga zawoła:
O Ojcze, daj cudu
Za wiarę i męstwo,
Za walkę wśród trudów,
Daj ufność w zwycięstwo!
I wiem, że Bóg przyjdzie
Wyciągnie ramiona,
Nim słońce gdzieś wzejdzie —
Bóg cudu dokona.
I ufność znów wzbudzi,
Z pamięci zło zmaże,
Cierpienia ukróci,
Cel życia ukaże.

„Iwola".

CZY ZGADZA SIĘ?

„Leniuszek". Życie obozowe znam bardzo dobrze, dlatego liścik Twój, Miła Dziewczynko, odczytałam z prawdziwym wzruszeniem. Każde zdanie nasuwało mi mnóstwo wspomnień i przypominało mi osobiste przeżycia. Dziękuję Ci, „Leniuszku", za te kilka chwil miłych wzruszeń i mocno, mocno ściskam.

Zdjęć otrzymałam dziewięć. Dwa w poprzednich listach i siedem w ostatnim. Czy zgadza się?

UŚMIECHNIJ SIĘ!

„Boluś". Nie wróci to, co minęło, co zburzył w jednej chwili zły los, ale może wrócić do Ciebie, „Boluś", dawna radość i wiara w życie. Kto wie, czy na swej drodze nie napotkasz za dzień lub kilka, innego szczęścia? Czasami stracone szczęście zastępuje nowe, jeszcze większe i promienniejsze, więc nie trzeba załamywać rąk i patrzeć czarno w przyszłość. Uśmiechnij się, „Boluś" i powiedz sobie stanowczo, tak, jak pięknie powiedziała w jednym z swych wierszy, znana poetka — Helena Duninówna:

Choć czar marzenia pieści mile,
Snów pęta nić —
Trza iść w codziennym, znajomym pyle
Po brzeg wypełnić każdą chwilę
I pełnem życiem żyć.

„O CZYM DUMAĆ?"...

„Smutna Kazienka". O czym tu dumać na wiejskim bruku?" — pyta „Smutna Kazienka", myśląc o długich, zimowych wieczorach i bezczynnych niedzielnych popołudniach na wsi.

Na powyższe pytanie trudno znaleźć mi naprawdę trafną odpowiedź, ale pragnąc dać p. „Kazience", chociaż temat do dumań, zwracam się do Sympatyków „Krainy", aby zechcieli skreślić do „Smutnej Kazienki" kilka miłych słów.

Osobiście przesyłam p. „Kazi" szczery uścisk dłoni i cichutkie życzenie, aby listów od Sympatyków było jak najwięcej.

PAMIĘTAJ!

„Iry — Pomorzanka". Młodość kocha marzenia, chociaż są złudne i nieistotne, bo dają one zapomnienie nawet o najmniejszych smuteczkach i kłopotach, a przenoszą myśl w radośniejszy i lepszy świat. Dlatego nie dziwię Ci się „Iry", że lubisz tak bardzo „odbiegać myślami gdzieś daleko". Jesteś zresztą młodą a młodość, tak jak napisałam wyżej kocha marzenia. Napisz znowu wkrótce do mnie i nie zapomnij, proszę w przyszłości, przejeżdżając przez Żnin wstąpić na chwilę do naszej redakcji. Żegnaj. Droga „Iry" i pamiętaj o mej prośbie.

NA KAŻDY LIST — ODPOWIEDŹ

„Gentleman". Na pierwszy list otrzymał już Pan odpowiedź, pozdrawiam więc tylko dzisiaj Pana i oddaję Pański list, przeznaczony dla Sympatyków, do przedruku:

„Apeluję do miłych Sympatyczek „Krainy", aby zechciały zainteresować się mną odrobinę i przesłać mi kilka ciepłych słów. Na każdy list dam natychmiastową odpowiedź.

Moc pozdrowień przesyłam: „Dziewczynce z Bydgoszczy", „M. Rysi", „Złotej Rybce II", „Białej Uajali" (może Pani zechce poświęcić mi jakiś miły wierszyk? — będę bardzo wdzięczny!) i „Roześmianej Ziuteńce". Może ta ostatnia Pani zechce nawiązać ze mną korespondencję? Chciałbym być dla Niej dobrym duchem".

(Sympatyczka, o którą Pan zapytuje przy końcu listu, nie dała już dawno znaku o sobie — przypuszczam, że „Moich Powieści" już nie czyta.)

POMYŚL...

„Smutna Sztubaczka". Tak samo, jak delikatne roślinki pięknieją w słonku i rozchylają w nim promiennie swoje płatki, tak Ty, Miła Dziewczynko, poweselejesz i wypromieniejesz w szczęściu. Narazie smutno Ci i przykro, ale stan ten minie kiedyś i zaświeci dla Ciebie słonko. Wówczas zmaleją wszystkie Twoje troski zaguba się i zginą. W korowodzie szarych bliźniaczo podobnych do siebie dni, przyjdzie jeden dobry dzień — nagroda za wszystko zło, za wszystkie łzy i żale. O tym dobrym dniu pomyśl, Dziewczynko, ile razy będzie Ci smutno...

A teraz jeszcze kilka pozdrowień „Smutnej Sztubaczki" dla: „Jadźki z Kujaw", „Smutnego Sztubaka", „Blondynka w mundurku", „Lwa Morskiego" „Podchorążaki" i „Polnika z Pomorza".



„Fakir" nawet na zdjęciu nie stracił nic z swej tajemniczości i powagi.

NIE ZAPOMNĘ

„Dzika Cyganka". Nie zapomnę o tem, co napisała mi Pani w ostatnim liście, no i postaram się uczynić życzeniom Pani zadość.

Za pozdrowienia dziękuję i pozdrawiam.

O konkursie pomyślimy. Fotografie na specjalne życzenie — zwracamy. Serdecznie Panią pozdrawiam i przekazuję kilka słów Pani, przeznaczonych dla „Optymisty Sir":

„Optymisto Sir"! Przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia i malutką prośbę o liścik".

KTO NAPISZE?

„Ryśka D". List wysłałam. Życzę Ci „Rysiu", miłej odpowiedzi na niego.

A teraz Twój apel:

„Drogie Sympatyczki „Krainy"! Która z Was napisze miły liścik do bardzo wesołej dziewczynki? Odpowiedź murowana! Podaję Wam mój adres: Poste — restante, Łódź 10, (dla „Ryśki D.")

ROZUMIEM...

„Te — Em". Z listu Pana dowiedziałam się, że dotychczasowy tryb życia Pana uległ zmianie i to zmianie na gorsze. Pomiędzy wierszami listu Pana wyczuwam z tego powodu leciutki bunt. Żal Panu swobody i prostoty dawnego życia? — prawda, że się nie mylę? Rozumiem, dobrze, ale niech mi Pan wierzy, że to wielka satysfakcja, a nawet do pewnego stopnia moralny obowiązek, umieć się nagiąć do woli innych, umieć słuchać i z godnością spełniać to, co każą zwierzchnicy. Bunt tu nie przyda się na nic — trzeba nauczyć się słuchać, aby kiedyś móc samemu mądrze i dobrze rozkazywać.

Nadesłany wierszyk zostanie zamieszczony w „Ilustrowanym Kurierze Pałuckim".

Pozdrowienia, przeznaczone przez Pana dla „Basi" i „Dumki" — przekazuję i ściskam Panu serdecznie dłoń.

NIE ZNAM JESZCZE DOBRZE, A JUŻ DARZĘ SYMPATJĄ...

„Samotna Dusza". Dziękuję Pani za ten pierwszy podyktowany szczerem sercem list. Nie znam jeszcze dobrze Pani, a już pod wpływem przesłanych słów, kocham Panią i darzę Ją sympatią. Proszę, niech Pani zawsze o mnie pamięta i myśli o mnie, jako o życzliwej i oddanej osobie.

List wysłałam. Łączę dla Pani jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

ŻYCZENIE

„Jarzębina". Forma jeszcze chwiejna, ale już znacznie lepsza. Życzę Pani dużo wytrwałości w pracy i dążeniach do wytkniętego celu.

Pozdrawiam w imieniu Pani „Czarnobrewkę" — „Trzpiotkę" — „Lakoniczka" — „Mariana" — Hiacyntę i P. Anatola G.

ADRESY

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Lotos" — „Irka z Torunia" — „Sarenka Czarnooka" — „Jasne Słoneczko" — „Samotna Kukułka" — „Wrzos z nad Noteci" — „Niebieskooka Torunianka".

POZDROWIENIE

„Szara Dziewczynka II." Po odebraniu adresu zaraz list Pani wysłałam. Pozdrawiam Panią serdecznie i czekam na dłuższy list.

A teraz pozdrawiam jeszcze w imieniu Pani „Złotą Rybkę" — „Rysię D". i „Niesympatycznego Eda". „Erosa" zapytuję dlaczego nie dał Eli odpowiedzi?

ŻYCZENIU UCZYNIŁAM ZADOŚĆ

„Tarzan". Za miłe pozdrowienia bardzo Panu dziękuję i równocześnie zawiadamiam Pana, że życzeniu Pana uczyniłam zadość.

PROSZĘ O ADRES

„Leszek z Zielonej Doliny". Proszę Pana o dokładny adres, abym wiedziała dokąd wysłać oferty.

DLA „OPTYMISTY SIR"

„Czarnulka z pod Śremu". Przypuszczam, że nadzieje nie zawiodły Pani i obecnie koresponduje już Pani w najlepsze z „Słonecznym Uśmiechem"? Pragnę, aby tak było, „Czarnulko".

DZIĘKUJĘ!

„Kapłance Wschodu" i „Uśmiechowi Poranku" bardzo dziękuję za milutkie pozdrowienia, nadesłane z Katowic.

LIST DYSKUSYJNY

„Antygona" pierwsza zabiera głos w dyskusji, zapoczątkowanej przez „Lawrence". List „Antygony" zamieszczam z nadzieją, że nie będzie on pierwszym i ostatnim, poruszającym dość ważny problem w „Krainie":

„Pomimo, że należę do „Krainy" dopiero od kilku dni, już czuję się jej dobrą mieszkanką i zabieram głos w dyskusji, jaką podsunął nam „Lawrence". Zanim jednak przystąpię do sedna sprawy, zaznaczę jeszcze, że dyskusja, w której zabieram głos, jest bardzo aktualna i interesująca i powinna zachęcić od wzięcia w niej udziału szerszy ogół Sympatyków.

A teraz przystępuję „ad rem" i wyrażam swoje zdanie co do korespondencji.

„Rodzinka" nasza składa się z najróżnorodniejszych osób o różnych poziomach intelektualnych. Składa się z osób mniej lub więcej wykształconych, o mniej i więcej wyrobionej intuicji i spostrzegawczości. Składa się z osób o odrębnych charakterach i stąd wynikają wszystkie nieporozumienia.

Czyniąc wybór korespondenta, czy też szukając bratniej duszy, trzeba nastroić się trochę psychologicznie i nie dać się pociągać tylko zewnętrznemi walorami. Trzeba umieć rozróżniać coś głębszego — psychikę człowieka.

Szukając bratniej duszy, wielu Sympatyków zwraca uwagę na szumny pseudonim, lub życzliwą odpowiedź p. Zofji i Wujka Janusza. Zapomina natomiast, że w skromnym, krótkim apelu mieści się nieraz dużo piękna i prawdy. Zapomina i omija naprawdę życzliwe serce i bratnie dusze.

Jestem zatem, aby na każdy list dać odpowiedź, nawet wtedy, gdy chcemy zerwać korespondencję. Przecież to nas dużo nie kosztuje wyjaśnić delikatnie przyczynę zerwania i zaniechania korespondencji. Za szczerość n'kt się na nas nie pogniewa!

Powinniśmy być zawsze sprawiedliwi i wyrozumiali. Jeżeli dostaniemy list o prostym charakterze pisma i niewyszukanym stylu, ale szczery i bezpretensjonalny, taki, co chwyta za serce — naszym moralnym obowiązkiem jest na niego odpowiedzieć, choć byśmy posiadali wyższe wykształcenie. Pomijając taki list milczeniem — robimy krzywdę temu, który list pisał.

Poza tym zgadzam się zupełnie z „Lawrence". Przesyłam temu Panu serdeczny uścisk dłoni i zapytuję go, czy nie zechciałby podyskutować ze mną na szersze i głębsze tematy".

SPROSTOWANIE:

Sprostowanie: W numerze 41 „Moich Pow." na stronie 756 zamieściliśmy zdjęcie z podpisem: „Duśka" urocza Sympatyczka „Krainy" itd. W tych dniach otrzymaliśmy list od „Duśki", w którym prostuje, że jest to zdjęcie Jej siostry, które przez pomyłkę, zamiast swego, dołączyła do listu.

Teczka Wujka Janusza

WIERSZE SZABLONOWE

P. M. M. z S. Ocena moja wypadła krótko: szablon i jeszcze raz szablon!

Rękopis powieści — otrzymałem. Dziękuję! Po przeczytaniu dam Panu natychmiast odpowiedź.

Serdecznie pozdrawiam i zachęcam Pana do nawiązania bliższego kontaktu ze mną.

JESTEM BARDZO ZADOWOLONY

„Ord - Om". Witam Pana serdecznie po długich miesiącach przerwy w korespondencji! Jestem bardzo zadowolony, że wraca Pan znowu do mojej „Teczki" i przyrzeka kontynuować dalej naszą przyjaźń.

Wymienione przez Pana w liście wiersze — odebrałem. Wszystkie znajdują się w teczce redakcyjnej. Zamieszczę je, tak jak przyrzekłem przy okazji.

Ostatnio nadesłane wiersze są dość słabe. Widzę, że „dolce far niente" jakoś ujemnie wpłynęło na twórczość Pana, ale pocieszam się tem, że wkrótce dojdzie Pan znowu do dawnej formy.

Pełen nadziei w powyższe, ściskam Panu dłoń i zamieszczam dopisek z listu Pana:

„Moc serdecznych pozdrowień zasyłam: „Duśce" — „M. Rysi" — „Słodkiej Psyche" — „Lili" — „Lidce" oraz „Łobuzowi w spódniczce".

Hallo! Janko M.! Pamiętam — odezwij się!

Zosiu P.! Przypuszczenia moje zawiodły, jest tak: jak kiedyś mówiłem. Serdecznie pozdrawiam!

„Niesympatyczny Edku"! Pozdrawiam i proszę pisać na starą budę".

TWOJE LISTY

Pisz, proszę, do mnie codzień listy,
Takie radosne i kochane —
Bo jasnym staje się dzień mglisty,
W którym twój, dziewczę, list dostanę.

Pisz do mnie często, bardzo proszę,
Pisz do mnie wciąż, gdy masz ochotę,
Bo twoje listy radość wnoszą,
Skracają smutki i tęsknotę.

Sercem mym gorycz nie szamoce,
Gdy czytam twoje czułe słowa
I niemi szarość dni mych złocę
I w piersi budzę wiarę nową.

— — — — — — —

Dziś znowu list twój nadszedł do mnie,
List, pełen czaru i pieszczoty —
I tak ucieszył mnie ogromnie,
Jak w dni pochmurne promyk złoty.

„Ord - Om".

ŻYCZENIE

„Maleńka Dzidzi". Wierzę, Marto, że tak samo, jak w Chybiu znajdziesz i w miejscowości, do której wyjeżdżasz, nowych znajomych i przyjaciół. Świat jest szeroki i wielki, to prawda, ale ludzie są wszędzie jednakowi. Zawsze spotyka się pomiędzy nimi jednostki więcej i mniej wartościowe. Bądź tylko ostrożną i subtelną w wyborze nowych przyjaciół, a zobaczysz, że szybko zżyjesz się z nowym środowiskiem. Przyjm ode mnie, Maleńka, serdeczny uścisk dłoni wraz z życzeniem jak najlepszego samopoczucia w pierwszych dniach przyjazdu do C.

Czekam z utęsknieniem na wiadomości z C...

Z PRZYJEMNOŚCIĄ...

„Lawrence". Czuję, że ostatni list Pana jakoby więcej zespolił i pogłębił naszą przyjaźń. Umiłowania Pana są i mojemi umiłowaniami. Wierszyk Gabryela Karskiego znam już oddawna i znajduję w nim również odbicie własnych uczuć i nastrojów, to też z przyjemnością odczytałem go w liście Pana ponownie...

Z niecierpliwością czekam na chwilę szczerej rozmowy z Panem i dziękuję Panu za obszerny i miły list mocnym uściskiem dłoni.

WIERSZE SŁABE

„Fidelis". Nadesłane przez Pana wiersze są zbyt staroświeckie, jak na wiersze nowoczesne i odwrotnie — zbyt nowoczesne, jak na proste, „staroświeckie rymy". Opinja moja taka, aby raczej złamać pióro i nie pisać więcej, niż tworzyć wiersze, do których można z stosować powiedzenie: „ni to pies, ni to wydra".

Bardzo dziękuję Panu za serdeczność i kończę odpowiedź miłemi pozdrowieniami.

Raj kobiet

Praktyczne okrycia dla dzieci



MK 49265 MK 49262 MK 49266

Powyższe płaszczyki mogą dzieci nosić w każdej porze roku. Trzeba je jednak zawsze odpowiednio zmodernizować. I tak: na wiosnę płaszczyki i kurteczka powinny wyglądać tak, jak są przedstawione na powyższym zdjęciu. Na zimę natomiast przypina się do płaszczyków podszewkę podszytą grubą watoliną. Do kołnierzyków przypinamy puszyste i ciepłe futerko. W ten sposób otrzymujemy uniwersalne płaszczyki.

Katastrofa „latającej matki" przed szkołą syna

Włochy, kraj, w którym lotnictwo rozwija się tak znakomicie, mogą się pochwalić tylko dwiema pilotkami: hr. Sita di Sambuy i hr. Bonmartini.

Il Duce wyraźnie zakreślił kobietom włoskim krąg ich obowiązków: mąż, dzieci, dom. To też tylko dwie znalazły się w tak szczęśliwych warunkach, że mogły pogodzić obowiązki rodzinne ze sportem lotniczym.

Dwie jedyne pilotki włoskie obie są Rzymiankami, obie należą do najwyższych sfer towarzyskich.

Hr. Sita di Sambuy zamieszkuje starożytny pałac, położony na spokojnej, dalekiej od śródmieścia ulicy. Przyjmuje nas w dużym pokoju, którego całe umeblowanie stanowi wielki tapczan, dwa bezcenne gobeliny na ścianach i stojąca lampa.

— Tutaj zaznaczam sobie wszystkie największe loty, dokonane przez kobiety — objaśnia hr. Sita. — Ja, niestety, jestem właściwie początkującą pilotką, bo nie wyszłam jeszcze poza Europę.

Ale też latam dopiero trzy lata. Namówił mię gen. Balbo, któremu kiedyś zwierzyłam się z myśli zainteresowań lotnictwem. Teraz nie mogłabym żyć bez samolotu.

— A dzieci nie protestują? Nie obawiają się o matkę?

— Oh, nie. Mój najstarszy 13-letni syn zamierza zostać pilotem. Narazie interesuje się konstrukcją samolotów i dokonał nawet w tej dziedzinie paru drobnych wynalazków, które zwróciły nań uwagę sfer lotniczych. Mój pierwszy wypadek, a miałam ich kilka, zdarzył się właśnie w oczach syna.

Przelatywałam nad jego szkołą, o co dawno już mię prosił, chcąc się pochlubić „latającą matką" przed kolegami. Wskutek defektu motoru samolot runął na boisko szkolne. Cudem tylko wyszłam cała z tej katastrofy.

— Syn musiał przeżyć chwile strasznej trwogi?

— Gdzie tam! — śmieje się wesoło hr. Sita. Widząc spadający samolot, założył się z kolegami o 5 lirów, że nic mi się nie stanie. Te wygrane pięć lirów dał mi jako maskotkę na dalsze loty.

Hr. Sita jest wysoką, kruczą brunetką, o czarnych jak węgiel oczach. Ubrana z wykwintną prostotą, nie nosi, prócz wąskiej obrączki, żadnych klejnotów. Jest idealną żoną i matką.

— Mąż, dzieci i dom, to mój pierwszy obowiązek, nie zapominam o tym nigdy, nawet bujając w przestworzach, kilkaset metrów nad ziemią.

DOBRA GOSPODYNI

Bigos z resztek pieczeni

Wszystkie resztki mięsa i pieczeni można zużytkować na przyrządzenie bigosu, który można w zimie przechowywać nawet dwa tygodnie, a im więcej się odgrzewa, tem jest smaczniejsze na śniadanie. Bigos można robić i ze świeżej kapusty, ale trzeba go zaraz spożyć. Kapustę gotuje się wtedy na kwaśnych jabłkach i pomidorach, zaprawia się kwasem z barszczu żytniego i podprawia śmietaną. Najlepszy jednak jest bigos z kapustą kiszoną z beczki. Taką kapustę trzeba ugotować w kamiennym garnku, dodawszy trochę suchych grzybów i zaprawić ją sloniną zasmażoną z cebulą i mąką. Wszystkie resztki mięsa pokrajać w kostkę, wymieszać z kapustą, dodać do smaku pieprzu, soli, trochę cukru i dusić razem z pół godziny. Podając można bigos obłożyć gotowanemi kartoflami.

Pasztet z prosiaka.

Ładne, młode prosię oczyścić, sparzyć i posolić, odciąć nogi po kolana i głowę, którą można użyć na czerninę, a następnie dusić prosię pod pokrywą, włożywszy w rondel jedną taną cebulę i 12 dkg młodej siekanej słoniny. Zakrapiać wodą, aby się nie przyrumieniło, a gdy będzie zupełnie miękkie, pokrajać je w małe kawałki. Osobno usiekać na surowo wątróbkę cielęcą i wątróbkę z prosiaka, przecierać przez sito i ucierać w donicy: łyżkę masła, cztery żółtka, jedną bułkę namoczoną w mleku i przefasowaną wątróbkę. Gdy, wszystko dobrze utarte, wrzucić ćwierć kg słoniny gotowanej i pokrajanej w kostkę, trochę soli, szczyptę pieprzu, angielskiego ziela, gałki muszkatułowej, wlać kieliszek madery i wymieszać farsz lekko z ubitą pianą z pozostałych białek. Wyłożyć rondel cienkiemi plasterkami słoniny i układać warstwami farsz i kawałek prosięcia, następnie przykryć i gotować w drugim garnku na parze półtorej godziny. Spróbować słomką lub patyczkiem, a gdy już pasztet suchy, ostawić go w celi przestygnięcia, a potem wyrzucić na półmisek, ubrać plasterkami cytryny i drobnemi ciastkami wykrojonemi z francuskiego ciasta lub często kami jaj na twardo. Osobno podać biały, piecarkowy sos lub sos cytrynowy.

Zając w śmietanie.

Zamarynowanego na parę dni wprzód zająca wyżyłować ostrym nożykiem z błon, naszpikować słoniną, a obłożywszy talarkami jarzyn, cebuli i korzeni, pozostawić przez kilka godzin w zimnem miejscu. Na pół godziny przed upieczeniem odrzucić jarzyny i cebulę, posolić zająca i położywszy na wierzchu parę kawałków masła, piec go w gorącym piecu na brytwannie, podlewając często. Gdy już jest na dopieczeniu, oblać go ćwierć litrem kwaśnej śmietany rozbitej z pół łyżką mąki, a gdy śmietana na wierzchu zrumieni się, pokrajać go, polać sosem i podać do stołu z zimową sałatą.

PORADY KOSMETYCZNE

Przepis na płyn do kędzierzawienia włosów. 100 g boraksu, 3,5 g gumy arabskiej, 1 litr gorącej wody, 15 cm kub. spirytusu kamforowego. Płynem tym macza się włosy na noc. Sporządzi go każda drogeria lub apteka.

Równocześnie zaznaczamy, że powyższy płyn nie nadaje się do wszystkich włosów, w każdym razie zmiękcza prawie że każdy włos, tak, że pod wprawnemi palcami daje się on ułożyć w najpiękniejsze fale. Loki, skręcają się same.

Środek przeciw zmarszczkom. Kosmetyk ten przyrządza się w następujący sposób: przeźroczysty miód pszczelny miesza się z sokiem świeżej cytryny (100 gramów miodu z sokiem z jednej cytryny). Cieniutką warstewkę miodu należy wetrzeć w okolicę zmarszczek zaraz z rana, po czym po kwadransie zmyć zimną wodą.

Odmrożone ręce. Odmrożone ręce należy moczyć w gorącej wodzie z dodaniem po 30 g na każdy litr wody soli kuchennej i soli amoniakowej. Jeżeli odzięblenia są zastarzałe i obrzęki występują dość znacznie, należy robić okłady z nafty oczyszczonej, zmieszanej z oliwą nicejską, w ilości 1 na f. z tem, by stopniowo ilość oliwy zmniejszać, uzależniając stosunek mieszaniny od stopnia wrażliwości.

Ze świata

Kościół bez dzwonów

Ilford, miejscowość hrabstwa angielskiego Hantshire, niebawem poszczycić się będzie mogła posiadaniem jedynego w swoim rodzaju kościoła.

Kościół ten posiadać będzie wprawdzie dzwonnicę, ale bez dzwonów, budowniczy bowiem tej świątyni postanowił zastąpić dzwony przez płyty gramofonowe z utrwalonymi na nich dźwiękami najsłynniejszych katedr europejskich.

Dźwięki tych dzwonów odtwarzać będzie można za pomocą głośników tak donośnie, że słyszane będą ze znacznej odległości.

A więc gramofon i głośnik wytwarzają już konkurencję nawet fabrykantom dzwonów.

Uniwersytet humoru

Uniwersytet Columbia posiada pierwszą (i jedyną), na świecie katedrę humoru. Wykładający w tym wydziale noszą tytuł profesorów lub docentów humoru. Pierwszym docentem humoru jest filozof i humorysta James Conan, którego wykłady, przepojone szczerym humorem, cieszą się wielką frekwencją. W wywiadzie z dziennikarzami amerykańskimi „docent humoru" James Conan oświadczył: „Fakt powołania mnie na pierwszą w świecie katedrę humoru sprawił mi wielką radość. Chcę nauczyć moich słuchaczy radości życia. Niech idą w świat i niecą ją dokoła siebie". W wykładzie profesor Conan omawia różne rodzaje humoru, jego istotę i sposoby wywoływania dobrych nastrojów u bliźnich.

Dania przoduje w Europie pod względem wydawnictwa książek

Według ostatnich danych statystycznych, tyczących się wydawnictwa książek w państwach europejskich, na pierwszym miejscu pod tym względem stoi Dania, gdzie na 10 tysięcy mieszkańców przypada prawie 9 nowych wydawnictw.

Wogóle, według tej statystyki, państwa północne Europy wydają więcej, niż południowe. Na drugim miejscu stoi po Danii maleńka Łotwa i Holandia.

Z państw Europy wschodniej najwięcej książek wydaje Czechosłowacja, bo 6,6 na 10.000 mieszkańców, Węgry — 4,4. Polska — 3,4, Bułgaria 3,1. a Rumunia — 2,4.

Ciekawym jest przytym stwierdzenie we wszystkich krajach wzrostu beletrystyki. Gdy jeszcze przed niewielu laty beletrystyka obejmowała czwartą część ogólnej liczby wydawanych książeczek, to według ostatnich danych, beletrystyce poświęcona była jedna trzecia ich części.

Liczba wydawnictw fachowych zmniejszyła się w zakresie przemysłu, rolnictwa i ekonomii politycznej, natomiast wzrosła znacznie liczba wydawnictw poświęconych językoznawstwu i literaturze.

Uderzający wreszcie ma być wzrost wydawnictw podróżniczych.



Głód i chłód — oto dola ludzi bezdomnych. Jedyne ich marzenia to myśl o własnym, ciepłym kącie, o kawałku białego chleba i całej marynarce. W okresie niesienia Pomocy Zimowej dla biednych, przyczyńmy się choć w części do zrealizowania tych cichych marzeń.

Epidemja pocałunków łańcuchowych ogarnęła Paryż

Pisma francuskie donoszą, że w Paryżu powstała nowa epidemia pocałunków łańcuchowych.

Najpiękniejsze i najelegantsze panie z paryskiego towarzystwa otrzymały listy, w których nieznany osobnik składał w dani swe wielkie uczucie, przysyłając drogą listowną pocałunek, mający zapewnić wieczyste, szczęście. Aby nic szczęściu nie stanęło na przeszkodzie, należy otrzymany list przepisać w pięciu egzemplarzach i rozesłać pięciu mężczyznom, do których żywi się specjalną sympatię.

W wypadku niezastosowania się do tego wskazania, osobę, która nie dopełniła warunku, spotka wielka przykrość.

Przesądne Paryżanki przepisywały listy i rozsyłały je w tysiącznych egzemplarzach, do różnych części świata. Łańcuchy pocałunków doprowadziły do ostrych nieporozumień małżeńskich, albowiem zazdrośni mężowie nie chcieli wierzyć, że listy miłosne były tylko „dla kawału". Władze bezpieczeństwa przystąpiły do likwidacji tej bezsensownej i niebezpiecznej korespondencji.

Podobnych łańcuchów było już bardzo dużo i różnym służyły celom. Były i takie, które miały o wiele szlachetniejsze pobudki, ale wszystkie były potępiane przez zdrowomyślącą opinię publiczną, jako, że w praktyce opierały się na wyzyskiwaniu łatwowierności, lub zabobonności bezkrytycznych mas, a zawsze posługiwały się terorem, jako główną metodą, prowadzącą do zamierzonego celu.

Dlatego też sama idea takiego łańcucha jest z gruntu niemoralna, zwłaszcza, gdy ogniwami łańcucha mają być pieniądze. Wymyślili ją ludzie, którzy hołdują machiawelskiej zasadzie, że cel uświęca środki. Wiedzą coś o tem wychodźcy, których już kilkakrotnie takim łańcuchem opasywano.

Najoryginalniejszy sposób zarobkowania

Najoryginalniejszy zapewne na świecie sposób zarobkowania wymyślił sobie Belgijczyk Oville, mieszkaniec Brukseli. Żyje on dosłownie ze szczekania!

W Brukseli zostało niedawno wydane rozporządzenie nakładające bardzo wysokie podatki na posiadaczy psów. Ogłoszono przy tym, że każda osoba, która doniesie władom, gdzie znajduje się pies, za którego nie został zapłacony podatek, otrzyma 20 franków nagrody.

Oville umiał świetnie naśladować szczekanie psa. Postanowił zużytkować praktycznie swój talent i w tym celu odwiedza codzień najrozmaitsze domy, zatrzymuje się przed drzwiami mieszkań i głośno ujada naśladując psa. Jeżeli z za drzwi odpowie mu szczekanie, notuje sobie adres, idzie do magistratu, gdzie w książkach sprawdza czy mieszkający pod tym adresem obywatel opłacił podatek za psa, a jeżeli stwierdzi, że nie, robi doniesienie i po kilku dniach otrzymuje nagrodę.

Te-Em.

Pierwsza nagroda

(Nowela.)

Józef Orwicz, będąc małem dzieckiem, lubił bardzo oglądać... książki z obrazkami. To było jego ulubioną zabawką. Potem, jak nauczył się czytać, czytał książki. Pierwszą jego przeczytaną „powieścią" był Janko Muzykant Sienkiewicza.

Mały Józio kilka tygodni „żył" z Jankiem Muzykantem. Podczas długich zimowych wieczorów naprzykrzał się matce pytaniami, czy aby Janko poszedł do nieba. Kiedy usłyszał twierdzącą odpowiedź, dawał jej na pewien czas spokój. Ale nie na długo, bo niebawem powracał do tego samego tematu.

Potem uczęszczał Orwicz do gimnazjum. Uczył się dobrze i dużo czytał. W gronie zaufanych kolegów pokazywał swoje utwory, wymyślone przez główkę czternastoletniego chłopca.

Kiedy starsi dowiedzieli się o jego „ambicjach pisarskich" nic na to nie mówili w przekonaniu, że zczasem wywietrzeje mu to z głowy.

I wywietrzało. Józio, a raczej już pan Józef Orwicz po maturze objął państwową posadę. Zapomniał o dawnych marzeniach i wierszach które spoczywały tu i ówdzie w starych książkach. Oddawał się całkowicie swej pracy, która przynosiła mu jak najzupełniejsze zadowolenie. W dodatku poznał miłą stenotypistkę, koleżankę z biura, pannę Marysię. Z nią spędzał wieczory w teatrze lub kinie, a niedziele na wycieczkach, słowem żył i bawił się doskonale. I ani nie spostrzegł się, jak się w niej zakochał.

Pewnego dnia, kiedy nadarzyła się po temu sposobność, wyznał jej swoją miłość, ale panna odpowiedziała mu:

— Panie Józku, nie powiem, abym pana nie lubiła, przeciwnie — żywię do niego jak największą sympatię, ale jednego żądam od pana: musi pan zrobić coś takiego, co przyniesie panu maleńką sławę...

Widząc dziwny ruch głowy Orwicza, dodała szybko:

— Będę czekała i będziemy nadal przyjaciółmi. A potem, jeśli pan dopnie celu, pańskie oświadczyny przyjmę napewno i wyjaśnię powód mego dziwnego żądania.

Cóż miał robić Orwicz? Kochał dziewczynę do szaleństwa, ale i sprawa sławy nie była taka łatwa. Próbował jeszcze kilka razy namówić pannę Marylę, ale ona była nieustępliwa, powtarzając za każdym razem. że wyjaśni mu powód swego dziwnego żądania dopiero wtedy, kiedy on dojdzie do celu.

Józef Orwicz długo myślał na jakim polu się wsławić.

— Na polu politycznym — nonsens. Jest dosyć innych ludzi którzy mają „plecy" ja nie mam, więc nic tutaj nie zrobię.

Zostać malarzem i swemi mistrzowskiemi obrazami zadziwić świat, a tem samem zdobyć sławę, było jeszcze większą niedorzecznością, ponieważ Józef Orwicz nie umiał wcale malować, a nawet przypominał sobie, że przez cały czas w szkole właśnie z rysunków „stał" krucho

— Czy wsławić się na polu naukowym? — była następna myśl po odrzuceniu tamtej. — Nie, tu trzeba poświęcić całe życie dla jednej błahostki, a zresztą nie jestem na to stworzony. Wykluczone!

Już stracił wszelką nadzieję, kiedy wzrok jego padł na ogłoszenie w gazecie — ogłoszenie konkursu na powieść i nowelę.

Przeczytawszy to, Orwicz przypomniał sobie dawne ambicje literackie. I tu zwątpił, sądząc, że na takim konkursie nie zbraknie nazwisk takich, jak: Gustaw Morcinek, Ossendowski, czy też Stefan Balicki....

Ale ostatecznie spróbował.

Pisanie powieści zajęło mu miesiąc czasu, przepisywanie całe dwa tygodnie. Jeszcze dwa tygodnie poświęcił na stworzenie noweli i obydwie prace, każdą pod innem godłem, wysłał na podany w ogłoszeniu adres.

Swej narzeczonej nie wspomniał o tem ni słowa. Wrazie niepowodzenia przynajmniej o niczem się nie dowie...

W międzyczasie Józef Orwicz został przeniesionej do ósmej grupy uposażeniowej, za co osobiście otrzymał serdeczne gratulacje od Maryli. Widział, że to dużo znaczyło w jej oczych, ale to nie była sława. Podług niego nie było to nawet ułamkiem sławy.

Długie miesiące przeszły Orwiczowi na oczekiwaniu. I miał właśnie to nieszczęście (a może szczęście?): że o wyniku konkursu dowiedział się od innej osoby.

Maryla niedawno temu kupiła sobie aparat radiowy za oszczędzone pieniądze, a jako nowa słuchaczka, lwią część czasu przesiadywała przy głośniku. I dzisiaj znowu nastawiła aparat. Z głośnika popłynęły miłe tony ostatniego przebojowego tanga. Marylka z rozkoszą wsłuchiwała się w dźwięki muzyki i myślała o Orwiczu. Czy on spełni jej życzenie?... Byłaby ostatecznie ustąpiła ale... nie mogła.

Koncert muzyki lekkiej skończył się i speaker zapowiedział:

— Hallo, hallo, radio Warszawa i wszystkie rozgłośnie polskie! Nadajemy państwu sprawozdanie z wyników wielkiego konkursu literackiego....

— Ostatecznie mogę posłuchać — zawyrokowała słuchaczka.

Prelegent długo rozwodził się na temat nadesłanych prac.

— Pierwsza nagroda — mówił — przypadła za doskonałą powieść p. t.: „Jadźka z Młyna", podpisaną godłem „Paris". Po otwarciu koperty, okazało się, że autorem tei doskonałej powieści jest Józef Orwicz z Warszawy.

Panna Marysia nie wierzyła własnym uszom. Czyżby?...

Wysłuchała dokończenia sprawozdania z konkursu na powieść i dowiedziała się jeszcze. że i ten sam autor otrzymał pierwszą nagrodę za nowelę p. t. „Gody życia" i że przepowiadają mu wielką przyszłość sławę i tem samem powodzenie etc... etc... etc...

Ledwo skończyło się sprawozdanie, zamknęła głośnik i ubrawszy się prędko, pobiegła do biura. Zadyszana, znalazła się w pokoju, w którym nadprogramowo popołudniu pracowało kilku urzędników, a wśród nich jej narzeczony.

— Panie Józefie!... I dlaczego nic mi pan nie mówił? — odezwała się do niego napozór spokojnie. Ale Orwicz zdziwił się bardzo.

— O czem panno Marylko? — zapytał, niedomyślając się niczego.

— Otrzymał pan... — i tu nadrabiając miną, dokończyła — ...dwie pierwsze nagrody za powieść i nowelę.

Wszyscy jego koledzy zdumieli się, usłyszawszy tę wiadomość. Józef nie wierzył, ale słowa panny Maryli potwierdził pan prezes, który dowiedział się o wszystkiem i przybiegł z temi samemi zamiarami, co Maryla, ale niestety... spóźnił się...

— Dostanie pan pięć tysięcy za powieść, tysiąc za nowelę — mówił pan prezes. — Pozatem za wydanie książkowe...

— I w dodatku mnie, jako żonę — dodała panna Marysia, a Orwicz dokończył:

— I ja podziękuję za posadę. Poświęcę się literaturze...

Panna Maryla przez chwilę milczała, krępując się widocznie obecnością kolegów. Ci jednak byli domyślni, że w porę sami wynieśli się z pokoju i zostawili ich samych.

Orwicz podszedł do narzeczonej.

— A więc, — rzekł pół poważnie, pół żartem — będąc pewnym siebie, — pozwolę sobie prosić o twoją rękę... Maryluś...

— Owszem, ale najpierw wyjaśnię ci powód mego żądania. Otóż ojciec mój, jako wielki dziwak, w testamencie wyraził swoją ostatnią wolę, że, abym mogła odziedziczyć cały jego majątek, którego wartość przekracza 100 tysięcy złotych, muszę wyjść za mąż za jakiegoś sławnego człowieka. Otóż cała filozofja...

Długi pocałunek i w niedługim czasie potem ślub związał ich na zawsze!...

Przed oczyma przesunęła się męska twarz, na której znać było ból i rozczarowanie...

W ciszę pokoju wdarł się naraz obcy głos i zerwał słodką złudę rozmarzonej wyobraźni:

— Czy panienka wołała?

Janka zerwała się na równe nogi. Przy drzwiach stał lokaj, spoglądając na nią niezwykle błyszczącymi oczyma. Nie słyszała wcale, kiedy wszedł do pokoju.

— Czy panienka wołała? — powtórzył pytanie Franciszek.

— Nie — odparła zdziwiona. — Nie wołałam nikogo.

— W takim razie musiało się mi zdawać tylko... Nie odchodził. Fizjognomia jego twarzy zdradzała, że chce z nią nawiązać rozmowę, ale krępuje się czemś.

Janka przyjrzała się mu uważniej. Miał wygląd sympatycznego, oraz inteligentnego chłopca. Oczy jego nieśmiało przesuwały się po jej postaci, a kiedy wzrok jego spotkał się z jej spojrzeniem, zmieszał się jak, przychwycony na gorącym uczynku, winowajca.

— Czy pani nie potrzebuje czego? — zapytał wreszcie, uważając widocznie, że koniecznie należy coś powiedzieć.

— Dziękuję — odparła, zauważywszy, że nie nazwał jej „panienką", jak to czynił zwykle. — Nie, w tej chwili nie mam żadnych życzeń.

Lokaj ukłonił się i wyszedł.

Młodą dziewczynę dziwiło trochę zachowanie się lokaja. Nie mogła się opędzić myśli, że w tem kryje się coś... Ale co? Czyżby miał do niej jaki interes?

Nie miała jednak czasu dłużej zastanawiać się nad tem, gdyż na korytarzu dał się słyszeć znany głosik. Pytano się o nią. Wnet rozpromieniona Irena wpadła do pokoju.

— Tu siedzisz Janeczko? — zawołała już od proga. — Wiesz? Panowie jeszcze są w drodze, a tylko ja sama pobiegłam naprzód, aby pierwsza być przy tobie. Użyliśmy przyjemnej przechadzki i szkoda, że ciebie nie było z nami...

— Tak prędko wróciliście? — zapytała Janka zdziwiona.

— Z powodu buntu części uczestników zmuszeni byliśmy zrezygnować z dalszego programu naszej wycieczki. A wszystko to przez ciebie...

— Nie rozumiem... Przeze mnie?

— A tak. Dlatego, że ciebie nie było z nami, młodzi ludzie uparli się, aby wcześniej wrócić do willi. Obawiali się, że ty możesz nudzić się w samotności.

— Zbędna troskliwość — Janka wzruszyła ramionami. — Nie nudziłam się wcale. Marzyłam sobie...

Irena przymrużyła oczy.

— Ale wiesz, Jano — rzekła wesoło. — Ten Zdzich to rzeczywiście bardzo sympatyczny chłopiec. W czasie dzisiejszego spaceru miałam możność porozmawiać z nim sam na sam. Wiesz?... Zakochałam się w nim po same uszy.

Janka ściągnęła brewki. Przed oczyma stanęła zaobserwowana rankiem scena: Irena poufale wsparta na ramieniu Zdzisława!... Zazdrość szarpnęła jej sercem.

— Ty! — zawołała gwałtownie. — Ty moją rywalką?!...

— Rywalką?... — powtórzyła Irena, udając wielkie zdziwienie. — Ależ, ja sądziłam, że go już nie kochasz... Przecież od dwóch dni unikasz go formalnie i manifestujesz względem niego swoją oziębłość?

Janka nie słuchała. Ścisnęła Irenę za rękę.

— Ty... ty go kochasz?! — zawołała porywczo.

— Powiedziałam.

— A on?...

— Hm!... Wyobraź sobie. Oświadczyłam się jemu, ale dał mi kosza. Powiedział, że kocha inną i, że woli tamtą niż mnie...

Janka odetchnęła z ulgą.

— Szkaradna dziewczyno! — zaśmiała się, rzucając się kuzynce na szyję, — A ja... byłam gotowa wydrapać ci oczy.

— Wcale niezły zamiar, ale zawsze trochę barbarzyński... Jesteś zazdrosną moja miła panno, a która jest zazdrosną, ta kocha...

— Tak Iruśko. Kocham go.

— Czemu więc go unikasz? Dlaczego od wczoraj jesteś dla niego tak oziębła?

Janka spłonęła przelotnym rumieńcem.

— Chciałam ukarać go za... za ukradziony całus — szepnęła pomieszana.

— A bodajże cię! — Irena śmiała się do rozpuku. — Taka mi gąska!... Niepotrzebnie sprawiać chłopcu tyle strapień. Bo wiesz, rozpacza nieborak... Będziesz musiała mu to wynagrodzić. — A teraz pójdźmy, bo panowie zapewne już powrócili.

Śmiejąc się, wybiegły z pokoju.

Rozdział VIII.

ANONIM

Z niepokojem w sercu Janka przestępowała próg męskiego gabinetu, dokąd wezwał ją ojciec. Domyślała się jaki jest cel tego wezwania i tembardziej czuła się niespokojną.

Pan Krański siedział przy biurku. Głową wspartą na ręku, pogrążony był w zadumie. Wzrok jego wybiegał poprzez okno hen — w bezbrzeżną dal.

Usłyszawszy wchodzącą, odwrócił się żywo i, odsunąwszy obok stojący fotel, wskazał go córce.

— Siadaj Janeczko — rzekł, usiłując głosowi nadać ton swobodny. — Porozmawiamy sobie...

Janka usiadła na wskazanem miejscu. Czekała, utkwiwszy w ojcowskie oblicze badawcze i pytające spojrzenie.

Pan Krański milczał przez chwilę. Na jego twarzy malowała się dziwna powaga, połączona jakby z lekkiem pomieszaniem. Parę razy oczy jego spoczęły na miłej twarzyczce dziewczyny i znowu jego wzrok wybiegł gdzieś poza okno.

Wreszcie poprawił się w fotelu i starając się uśmiechem zegnać powagę z twarzy, przybrał minę swobodną i obojętną. Młoda dziewczyna widziała jednak dobrze, że jakieś ważne myśli kryją się za jasnem tłem jego czoła.

Uważając, że najlepiej będzie od razu przystąpić do właściwej rozmowy, zawołała wesoło:

— Czy to ma być sąd nade mną?... O, dawno już nie widziałam ojca tak strasznie poważnego.

— Janeczko — rzekł pan Krański. — Chcę z tobą pomówić w twojej sprawie.

— A czy nie dałoby się tej rozmowy przesunąć na kilka dni później?

— Widzę, że żartujesz... To poważna sprawa.

— Słucham.

— Wiesz Janeczko, żałuję teraz, że pozwoliłem panu Donieckiemu zamieszkać w naszej willi...

Dziewczyna drgnęła i na moment zmieszała się. Jednakże opanowała się prędko.

— Co on ojcu zrobił? — zapytała z udanem zdziwieniem.

— Mnie nic — odrzekł. — Ale mam poważne obawy, że jego dalszy tutaj pobyt może dla nas być przykrym. Mieszkając nadal w willi, mógłby mimowoli sprawić nam różne nieprzyjemności...

— Nie rozumiem...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

7)

Radość życia

powieść

— Sew, byłam daleko... Pamiętasz, coś mówił mi wtedy, gdym ci wspomniała, że pragnęłabym zwiedzić te wszystkie dziwy świata, o których mi tylekroć opowiadałeś, pamiętasz? Mówiłeś wtedy, że na to wszystko potrzeba pieniędzy, dużo pieniędzy... Dlatego myślałam nad tem długo, szukałam sposobów w mej głowie, jakby zaradzić temu przykremu krokowi...

— Niobe, serdeczna moja, duszo mej duszy, trud to daremny... Ale wiedz, że my je zdobędziemy, oboje je zdobędziemy...

— O, Sew, mylisz się, mylisz, i ja znalazłam... Posłuchaj: Kiedy tak myślałam długo, przypomniało mi się, że kiedyś, gdy pasłam owce, wtedy, gdyś ty do mojego szałasu przybył — znalazłam w ruinach, w okolicy Myken, dużo okrągłych żółtych blaszek, na których z jednej strony wytłoczona była głowa kobieca, z drugiej sowa, ptak mądrości. Pomyślałam więc, że te pieniążki może będą miały jaką wartość, dlatego poszłam tam przed trzema dniami i wróciłam oto teraz, przynosząc ich nieco, by je tobie pokazać. Tyś taki mądry, wiesz dużo — dużo rzeczy, których istnienia na świecie ja nawet nie przypuszczałam — powiedz mi zatem, co te żółte blaszki oznaczają? I czy nie moglibyśmy za nie odbyć dalekiej drogi po świecie, bym ja zobaczyć mogła wszystko, cokolwiek zobaczyć można, a potem... potem dokonać tego, o czem również wspominałeś, zdobyć sławę.

Niobe podała mi garść „żółtych blaszek", które ja wziąłem od niej w milczeniu, powstałem z miejsca i podszedłem do okna, by je uważniej obejrzeć. Lecz dość było pobieżnego spojrzenia. Były to monety złote, niezwykłej rzadkości i niezwykłej ceny, pochodzące z VI wieku przed Chrystusem, a wyobrażające na jednej stronie głowę Ateny, a na drugiej wizerunek sowy, ptaka jej poświęconego. Taka tetradrachma równała się ówcześnie 4 drachmom, a dzisiaj? Już tylko ta garść monet, które podała mi do obejrzenia Niobe, przedstawiała majątek wcale znaczny, za który wcale wygodnie można było żyć we dwoje, nie znając żadnych trosk materialnych.

— Sew, powiedz, co warte są te żółte krążki? — powtórzyła znowu Niobe?.

Odwróciłem się od okna i zbliżyłem do mej pasterki. Twarz moja musiała zapewne być uśmiechnięta i radosna, gdyż i Niobe się uśmiechnęła.

— Niobe — rzekłem wolno, czując, jak coś ściska mi krtań — Niobe, to cały majątek, duży majątek.

— Tylko te monety, które trzymasz w rękach?

— Tylko te.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz radością. Podbiegła do piecyka i ze stojącej tam dużej amfory, którą ja znalazłem niedawno — wysypała na ziemię górę złotych monet.

— A te?

Doznałem takiego uczucia, jakby nagle dreszcz gorący przebiegł me ciało i febra wstrząsać mną zaczęła... W gardle zaschło mi tak bardzo, jakbym od wielu dni nie miał kropli wody w ustach. Mimowoli ukląkłem i zanużyłem me dłonie w złoto. Dźwięk przesypujących się żółtych blaszków, był najcudowniejszą, jaką kiedykolwiek słyszałem melodią. Co to było? Co działo się ze mną? Nigdy dotąd widok złota nie wprawiał mnie w podobny stan zdenerwowania. A przecież byłem kiedyś równie bogaty, równie bogaty jak dziś.

Tak, niema dwóch zdań, że to była owa najprawdziwsza gorączka złota, jakiej doznają poszukiwacze. Ja nim nie byłem, a jednak doświadczyłem jej. Złoto posiada straszliwą, piekielną moc. Kusi daleko wytrawniej, niż stu najbardziej wyrafinowanych szatanów kusićby mogło. Kusi i rodzi myśli zbrodnicze. Ach, ja nigdy nie zapomnę tych moich myśli w owej chwili! Gdy wspominam je, palą mnie rumieńcem wstydu i hańby. Ogień piekielny nie może boleśniej ranić naszych dusz. Bo oto, kiedym zanurzył moje palce w tej sypkiej, brzęczącej żółtej kupie, szatan podsunął mi straszną myśl, a bestia, drzemiąca we mnie, jakby czekała tylko na to, wynurzyła zaraz kostropaty pysk i zachichotała radośnie.

— Zabij!... Zabij Niobe, zagarnij to wszystko złoto, spal chatę wraz ze zwłokami owej kobiety i idź przed siebie, daleko przed siebie. Wszystkie rozkosze i wszystkie raje ziemi otworzą się przed tobą... To złoto jest kluczem do sezamu radości życia... Zabij, powiadam ci, człowiecze — kusił szatan, a bestia moja aż wyła z radości, że to stać się może, bom już i wahać się nawet począł.

Lecz w tej okropnej chwili, kiedy decyzja wisiała zaledwie na włosku, a ja — postokroć podły, mogłem uledz tym pokusom, odezwała się nagle moja jasna dusza.

— Sew, chłopcze, czego ty słuchasz, co? Szatan pomącił ci jasność poznania i odróżniania rzeczy pięknych i wzniosłych i ukazuje ci złudne miraże obłudnie i faryzeuszowsko, a ty kłonisz się ku grzechowi zbrodni. Zastanów się! Chcesz zamordować miłość swoją i szczęście swoje gwoli osiągnięcia paru chwil chimerycznego zadowolenia próżności własnej? A czy wiesz, co będzie potem? Czy wiesz? Mrok wieczny w twej duszy, która stanie się ponurą, jak najczarniejsza noc i nie zazna już nigdy radości życia, ani ożywczego ciepła miłości. Błąkać się będziesz po tej ziemi jak wyrzut sumienia, będziesz przebiegał drogi i dróżki wzdłuż i wszerz, będziesz szukał spokoju i ukojenia, ale nigdzie nie znajdziesz go. Na twoich rękach przyschnie krew twojego szczęścia, któreś ty zamordował. I o ile zmyjesz krew z rąk — nie zmyjesz jej ze swego sumienia i ze mnie, twej duszy... Wyrzucisz i rozdasz to złoto, będziesz się kajał, wyznawał swój grzech i żebrał przebaczenia, lecz nie usłyszy nikt twego głosu i nikt go nie wysłucha...

— Chi, chi, chi! — zawył w tej chwili szatan, we mnie, lecz dusza moja, nie zwracając na to uwagi, znowu rzekła:

— Krew ludzka, przelana gwoli złota, kirem po wieczne czasy spowija duszę człowieczą. Sew, ulituj się nade mną, ulituj się nad miłością swoją i nad szczęściem własnem.

I zapłakała dusza moja cichuteńko i popłynęła skarga rzewna, od której wstrząsnąłem się cały; ze wstrętem i obrzydzeniem odrzuciłem precz kuszenia szatana i ze łzami pod powiekami przypadłem do stóp mej bogini, a potem rozpłakałem się jak małe i bardzo skrzywdzone dziecko.

— O, Niobe, gdybyś ty wiedziała, gdybyś ty wiedziała... — powtarzałem raz za razem i nie odrywałem splotu mych ramion od jej stóp bosych, w znoszone sandały obutych. I całowałem te stopy ustami memi, i zmywałem łzami kurz dalekiej drogi z nich, a dusza moja rozradowała się już teraz tak ogromnie, że z ust jej popłynął hymn radości i wesela aż ku tronowi Pana, który to widział i słyszał i błogosławił duszy mojej.

A Niobe osunęła się na kolana, wzięła w swe pachnące morzem dłonie moją głowę, położyła ją na kolanach i głaszcząc mą twarz, nie pytała o nic. Ona zdawała się widzieć to wszystko, co we mnie się działo, oczami własnemi i nie potrzebowała o nic pytać.

Jej ręce, te jej kochane ręce, dotykały wciąż mojej twarzy i udzielały mi wciąż swego dobroczynnego fluidu spokoju, była dla mnie aktem rozgrzeszenia i ukojenia. Wtedy skonało we mnie wszelkie

zło, pokonane przez dobro mej duszy i radość taką poczułem w sobie, jakby naraz złotopromienne słońce wstąpiło do mego serca i oświetliło je, przenikało nawskroś. Bestja moja ryknęła głosem rozpaczy i ukryła swój łeb straszliwy, by długo, długo, a może już nigdy nie podnieść go, nie wychylić więcej.

— Niobe — rzekłem skruszony — byłem podły, ach, jak podły! Lecz dobro we mnie zwyciężyło, dusza moja jasna i dobra pochłonęła ducha ciemności i zła i teraz jestem szczęśliwy. Błogosławię nieba, iż mi dały ciebie, dobrego ducha, który jest szczęściem mojem i szczęściem mej duszy. Niczego już więcej nie pragnę i niczego nie pożądam, prócz tego jednego, byś ty zawsze była ze mną.

— A złoto?

— Zagarnę je do wora i wrzucę daleko na morzu do wody. Złoto jest przekleństwem człowieka.

— Złoto jest przekleństwem człowieka złego, a błogosławieństwem w rękach człowieka szlachetnego. Nie, Sew, ty tego nie zrobisz. Niechaj złoto zostanie z nami. I przyrzeknijmy sobie, że nigdy nie użyjemy go na cele złe.

— Twoja wola, Niobe, przyrzekam! — podniosłem rękę do góry, jak do przysięgi.

— A teraz, o Sew, ja zajmę się śniadaniem, a potem zabierzemy to złoto nasze i pójdziemy do Myken, by zabrać resztę. Z Myken skierujemy kroki ku Atenom i stamtąd rozpoczniemy nasz tryumfalny pochód przez świat w glorii sławy.

— A potem? — spytałem.

Boski uśmiech ust Niobe był mi jedyną odpowiedzią, ale w tym uśmiechu było całe niebo szczęścia i całe niebo radości, tej prawdziwej radości życia, w której może utoną dusze nasze.

XX

Jesteśmy zatem już w Mykenach. Lecz skarb Niobe jeszcze nie tu, lecz znacznie dalej stąd. Tutaj już rozkopano wszystkie wzgórza i wszystkie pagórki. Uczeni niemieccy z całym swym sztabem niszczycielskim zbobrowali wszystko i zabrali wszystko, szukając murów Troi i skarbu króla Pryjama. Wszystko, cokolwiek znaleziono — powędrowało w świat, do muzeów i kolekcjonerskich zbiorów, gdzie oglądać je można za opłatą wejścia. Ludzie współcześni ze wszystkiego umieją wyciskać pieniądze.

Chodzimy z Niobe po tych rozkopiskach, a ja jej tłumaczę, co to była Troja, król Pryjam, Homer, Illiada, Odyssea i wszyscy ci bohaterowie, których czyny tak uwiecznił po mistrzowsku ślepy poeta. Ona słucha mnie z uwagą i dziwi się, że wszystko to tak dawno już było, a jednak wydaje się tak świeżem, jakby to były zdarzenia dnia wczorajszego.

A potem dodaje:

— A jednak duch ludzki jest niezniszczalny. Mijają wieki, mijają tysiąclecia, a duch ludzki trwa wciąż i nie starzeje się nigdy — jest wiecznie młody.

Jak to ładnie powiedziane: „duch ludzki nie starzeje się nigdy — jest wiecznie młody“. Nie wiedziałem dotąd, że moja Niobe tak ładnie mówić potrafi. W tej chwili, gdy spoglądam na nią, zdaje mi się, że i ona jest istotą wieczną, że istniała już wtedy, gdy pod murami Troi walczył rycerski Agamemnon, gdy zbrojne oddziały hoplistów darły się na mury z chrzęstem swych zbroi, a przez pagórki starej Attyki przechodziły wojska najeźdźców perskich, medyjskich, rzymskich, macedońskich. Tak, moja Niobe już wtedy istniała i tak samo była piękna i tak samo bogata w skarby swej duszy, jak i dzisiaj, i tak samo młoda. Bo ona jest wieczną młodością i wieczną radością życia.

Po długim odpoczynku na rozkopisku Myken, ruszamy w dalszą drogę. Trzymamy się wciąż za ręce i wędrujemy tak przez świat ten otwarty napoły jak zajazd, któremu za drzwi i okna służą dnie i noce i jesteśmy szczęśliwi.

Aby nie tracić czasu, idąc, uczę moją Niobe prawideł dobrego tonu, owej świętości ludzi cywilizacji, a ona słucha i przyswaja to sobie tak szybko, jakby wszystko już kiedyś i tylko teraz przypomina sobie rzeczy chwilowo zapomniane. I nie dziwi się niczemu. Gdy ją zapytuję, czy pewne formy towarzyskiego bycia ludzi cywilizacji nie wydają jej się nieco śmiesznemi, odpowiada mi z uśmiechem:

— Dlaczego? Skoro oni uznają to za dobre dla siebie, skoro miljony ludzi żyją według tych prawideł, nie widzę potrzeby, byśmy się my temu przeciwić mieli.

A jednak gdy ją co szczególnie razi, potrafi stworzyć własne formy, które przedziwnie godzą się z formami ludzi cywilizacji, choć są zupełnie różne i odmienne od nich.

Dziwna jest ta moja bosonoga tancerka atycka, lecz ja zawsze rozumię i godzę się z nią, ba, nawet uznaję w pewnych wypadkach jej wyższość nad sobą, ja — jej nauczyciel i mentor.

O zmierzchu już zobaczyłem daleko przed nami zwały olbrzymich głazów, które czerniały na tle liljowego nieba jak ogromne ruiny starego zamczyska. Słońce, wiszące już niby czerwona latarnia nad horyzontem, rumieniło je z jednej strony swymi gasnącymi promieniami, z drugiej rzucały na ziemię ponure cienie, wydłużające się niemal w oczach.

— O dwieście kroków od tych murów leży nasz skarb — rzekła Niobe.

— Dziwię się, że tyle wieków przeleżał on tam prawie na powierzchni ziemi i nikt go nie znalazł — zauważyłem.

— Skarb nasz nie leżał na powierzchni, ale pod ziemią, nakryty ogromnym głazem.

Widząc moje zdumienie, Niobe wyjaśniła dalej:

— Znasz przecie mojego „Hektora“, Sew? On to ten nasz skarb znalazł. Kiedyś, pasąc w tych stronach owce ojca mego, zobaczyłam, że „Hektor“ odbiega co pewien czas od stada i ginie w tych złomach kamienistych. Początkowo nie zwracałam na to zbytniej uwagi, ale pewnego dnia zainteresowałam się i poszłam za nim. Zobaczyłam wtedy, że wkopuje on się pod olbrzymi kamień, a dokoła leżą porozrzucane jakieś żółte krążki. Pozbierałam je prawie wszystkie i ukryłam w innym miejscu, a „Hektorowi“ zabroniłam tych wycieczek po złote runo. Wtedy jednak nie wiedziałam, że owe krążki mają taką wartość.

Niewielka już tylko odległość dzieliła nas teraz od miejsca przechowania skarbu Niobe, jak go nazwałem. W kilka minut znaleźliśmy się na miejscu. Słońce już utonęło w morzu i zmrok rozwlókł się dokoła. Gwiazdy, jedna po drugiej, zaczynały rozbłyskać na niebie. Ale księżyc nie pokazywał się.

Obeszliśmy bokiem ruiny jakiegoś dawnego miasta czy zamczyska i Niobe poprowadziła do niewielkiego zagłębienia, gdzie zwisająca skała tworzyła naturalne schronisko przed wiatrami i deszczem.

— Tutaj zanocujemy — rzekła — na naszym skarbie.

Więc to tutaj? Nie zdziwiłem się, ani żadna gorączka złota nie miała teraz dostępu do mnie. To złoto było mi obojętnem, choćby go tam niewiedzieć ile było w ziemi. Posiadało ono dla mnie wartość o tyle jedynie, że dawało mi możność postawić Niobe na piedestale sławy, sławy tak wielkiej, jakiej nie widzieli ludzie. Jej duch stanie się nieśmiertelnym, jak ona sama wydaje mi się nieśmiertelna, od wieków, od tysiącleci.

Zdjąłem z ramienia torbę, w której było złoto Niobe i żywność dla nas obojgu na te dnie, dokąd nie dostaniemy się do Aten.

— Kiedy myślę o tem, że już może nigdy nie wrócę tutaj, na te pagórki, ani do dawnego życia, doznaję jakby żalu — rzekła w pewnej chwili Niobe.

— Tęsknisz za rodziną??

— To nie. Tęsknić można za czemś miłem i kochanem. A tamci przestali mi być drodzy, odkąd ciebie rozłączyć ze mną chcieli i odkąd opuściłam ich namiot. Lecz żal mi tych pagórków, i tego nieba tutaj, i tych ruin tak licznych i wszystkiego, z czem żyłam się od lat najmłodszych. A także żal mi pewnej starej kobiety, która dawno, dawno już temu powiedziała mi wiele miłych i przyjemnych rzeczy.

— Przepowiedziała ci może przyszłość? Stare Greczynki z tych przepowiadań żyją. Sławę i szczęście przepowiadają wszystkim innym, ale sobie tylko nędzę.

— O, Sew, nie można być tak niewierzącym. I w przepowiedni starej kobiety jest czasem dużo prawdy.

— Czy tobie sprawdziło się już cokolwiek z tej przepowiedni?

— Trochę.

— Powiedzże mi, co mianowicie?

— Nie, nie, tego nie mogę zdradzić nikomu, nawet tobie, o Sew.

— Jak chcesz, ale radzię szczerze nie przywiązywać zbytniej wagi do wróżby.

— W tym kraju wszyscy jednak wierzą w nie.

— Ba, bo to kraj odwiecznych wróżb. Niegdyś nawet kapłanki delfickie trudniły się tem i wcale dobrze im się działo. One rosły w majętności, a lud jak był ubogim, tak ubogim pozostawał.

Niobe nie odpowiedziała już na to nic i nie podjęła dalszej rozmowy, ale przysunąwszy do siebie moją torbę z żywnością i staremi tetradrachmami — wydostała z niej jedzenie i gestem zaprosiła mnie do wieczornego posiłku. A potem schowawszy resztki do torby, położyła ją pod skałą i milczenie pokryło wszystko.

Moja bestia próbowała chwilami odezwać się, lecz zgniotłem ją i zmusiłem do milczenia stanowczem „nie". Poczem zasnąłem już równo i spokojnie, czując ciepło ciała Niobe przy sobie.

Ranek wstał jasny i ciepły. Pierwszy promień słoneczny, okrążywszy wielki kamień, spoczął na naszych twarzach, pozbierał rosę, obmył i osuszył nasze oczy i zbudził nas ze snu.

Znowu skromny posiłek z rąk Niobe, potem odwalenie kamienia i odgrzebanie ziemi i oto oczom moim ukazała się kotlina niewielka, wygrzebana w ziemi i blask złota zagrał w promieniach słońca błyskami tak olśniewającemi, że nie mogłem powstrzymać się od okrzyku zdziwienia.

— Skarb! Olbrzymi skarb!

Ze złota podniosłem oczy na Niobe. Promieniała cała i była tak do jutrzenki podobna, tak rozradowana i urocza, że mimowoli skłoniłem głowę na piersi, bo mi się wydawało, że złotopromienne słońce zapaliło aureolę dokoła jej głowy i przybrało ją w koronę z brylantów i złota.

— Niobe, jakaś ty cudowna w tej chwili! — wykrzyknąłem.

Ona uśmiechnęła się tylko do mnie, poczem uklękła nad jamą i zaczęła obu rękami wyrzucać na wierzch stare, z przed przeszło 2500 lat, monety greckie.

— Sew, pakuj to wszystko do toreb, a potem w drogę. Nęci mnie ten złudny świat, o którym tak wiele mi naopowiadałeś.

— Znudzi on cię prędko i zniechęci do siebie — odrzekłem, zgarniając skarb Niobe i pakując go do skórzanych woreczków, które przyniosłem ze sobą.

Zanim słońce oświeciło szczyt skały, pod którą spędziliśmy noc, już byliśmy gotowi do drogi.

Niobe ostatniem spojrzeniem pożegnała te wszystkie pagórki, wśród których spędziła swą młodość, potem zdecydowanie ujęła w rękę długi kij pasterski i ruszyliśmy na południe, ku Atenom. Niobe była milcząca, ja nie przerywałem jej zadumy. Może myślała o tem, czy wróci tu jeszcze kiedykolwiek, może wspominała dawne lata, które zbiegły tak rączo i nie wrócą nigdy? Któż wie.

XXI

Znowu jestem w Atenach, ale jakże teraz inaczej patrzę na to miasto krzyczących, handlarskich greków. Patrzę na nie oczami Niobe, która wszystkiemu przygląda się uważnie i ciekawie, ale nigdy o nic nie pyta. Czasem tylko rzuca krótkie zdanie, gdy jej się co podoba, lub gdy ją co razi. Z tych jej monosylab urabiam sobie zdanie, że Niobe ogromnie jest wrażliwa na piękno i umie znakomicie je odróżniać od brzydoty architektonicznej. To mnie ogromnie cieszy. Ma duszę piękną, a taka dusza to skarb człowieczy.

Obładowani czteroma woreczkami starych monet złotych, weszliśmy do Aten jak dwoje nikomu nieznanych i niepozornych pasterzy, a co o nas powiedzą za pół roku?

Jeszcze sklepy pozamykane i ruch uliczny dopiero się zbudzi. Za godzinę — dwie, zaroją się ulice tłumami, biegającymi we wszystkie strony, jakby w podnieceniu gorączkowem.

Znam miasto na tyle, że nie potrzebuję nikogo zapytywać, by trafić na plac Mawrocerdato maison de Beltazzi pod numer 3, gdzie w domku okazałym i schludnym mieści się polskie Poselstwo, siedziba posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Stąd postanawiam zacząć od przedstawicielstwa mojego kraju rodzinnego i mojego państwa. Stąd zacząć powinienem, albowiem bez pomocy mojego posła Grecy ograbili mnie z mojego złota napewno, ażeby się zaś zabezpieczyć przed możliwością moich protestów, zamknęliby mnie gdzieś w takim schowku, skąd głosu mego nie usłyszałby nikt z tych żywych, którzyby pomóc mi mogli. A z Niobe? Z nią nie robiliby sobie żadnych ceregieli, ale uznanoby ją za szaloną i osadzono za zbyt mocnemi kratami, by się z poza nich wydostać nie mogła.

O, znam dobrze te wszystkie możliwości i nienasyconość fiskusu państw obcych, gdy dostanie on w swe szpony cudzoziemca. A skarb grecki, jak skarby wszystkich innych państw w obecnym okresie kataklizmu gospodarczego świata, zbyt jest spragniony i suchotniczy, by nie ważyć się na wszystko dla zdobycia skarbu mojej Niobe.

Lecz poselstwo nasze zamknięte jeszcze. Siadamy więc na placu Mawrocordate i postanawiamy czekać godziny otwarcia. Niobe nie rozumie, co zamierzam, zapytuje mnie przeto o przyczynę naszego spoczynku tutaj.

— Złoto jest największym wrogiem człowieka, Niobe — mówię. — Dla niego syn morduje ojca, brat zabija brata i krew się leje tak na całym świecie, odkąd ludzkość wmówiła w siebie jego wartość. — Przez złoto pękają więzy najbardziej serdecznej przyjaźni, łamią się traktaty zgody i przywiewa się i ulatnia. Aby więc utrzymać złoto nasze przy nas, musimy być bardzo ostrożni, musimy umieć milczeć i nigdy ludziom nie mówić prawdy. Pamiętaj, Niobe — nigdy nie mówić ludziom prawdy! Bo cię wyszydzą, oplwają i znieważą największą świętość twoją. Wiedz o tem, że milczenie jest złotem, Niobe. Strzeż go więc i graj komedię radości przed ludźmi nawet wtedy, gdyby ci serce z bólu rwało się na strzępy... Ten gmach który widzisz przed nami, to część mojej dalekiej ojczyzny — Polski. To przedstawicielstwo mojego państwa. Tam znajdziemy pomoc i opiekę, bo to jakby nasz dom, nasz wspólny już dom, Niobe.

— Więc chodźmy tam.

— Jeszcze zamknięte. Gdy chorągiew o barwach biało - amarantowych wzniesie się na maszt, wtedy tam wejdziemy, bo będzie to znak, że wejść możemy.

Gdym słów tych domawiał, na wysokim maszcie zatrzepotał w rannym wietrzyku sztandar o barwach mojego kraju, a jednocześnie Niobe powstała. (Ciąg dalszy w następnym numerze)

19)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Ma również własny statek i liczniejszy personel od mojego. My mamy na wszelki wypadek karabiny ręczne i maszynowe — on również. Ja nie unikam niebezpieczeństwa i ryzyka — to mój zawód. Ale kocham życie, mam okrąglutką sumkę pieniędzy, pragnę, do licha, zabawić się w Paryżu, i, wreszcie, załatwić te spóźnione porachunki z baronem Pinellim! Po jakiego więc licha jest potrzebna nowa awantura, w formie walki z konkurentem, dla którego największa byłaby rozkosz puścić nas wszystkich na dno rekinów na śniadanie? Pomyśl pan sam!

— W zupełności podzielam pańskie zdanie!

— Jestem prawnukiem Korsana i sam jestem Korsanem, — kontynuował Ajaks. — Ale teraz, kiedy osobista odwaga ma znacznie mniej znaczenia, aniżeli karabin z przyrządem optycznym i ołowiany deszcz karabinu maszynowego, nie mam najmniejszej ochoty być podziurawionym na odległość! Najmniejszej, przysięgam na prochy mojej babki! Nie jestem pewny, czy będzie pogoń, ale... strzeżonego pan Bóg strzeże... Coprawda i w dzień uważam i w nocy wystawiam czaty, ale teraz, gdy los mi posłał pana, czuję się bezpieczniejszym. Teraz mam już nie trzynastu ludzi do walki — ja jestem trzynasty, — a dwudziestu trzech! Pan sam za dziesięciu starczy!

— Niezmiernie jestem dumny, kapitanie, i wzruszony. Coprawda ten komplement uważam za wyolbrzymiony i to bardzo, ale liczyć na mnie pan może śmiało. Jestem kawalerzystą, ale, w razie potrzeby i w morskiej walce nie skompromituję się a już w żadnym wypadku nie zawiodę okazanej mi gościnności.

Na myśl tylko o niebezpieczeństwie i silnych przeżyciach, oczy Chana Mugańskiego zapłonęły odwagą i wyprężyło się gibkie ciało zgrabnego stepowego drapieżnika. Pasiasty swetr podkreślał wrażenie siły fizycznej i zwinności.

Sukienne spodnie dopełniały ubioru Chana. Swetr i spodnie — to wszystko, co znalazło się dla niego na „Epirze.“ W podróży morskiej w zupełności wystarczy. Natomiast, dotknąwszy stopą twardej ziemi w Marsylii, on ubiera się od stóp do głowy. Pecano obiecał, że pożyczy mu do Paryża kilka tysięcy franków. A w Paryżu są do jego usług i O'Donnel i Ałmaz - Chan.

Wszystko zostało przewidziane.

— Jestem człowiekiem bez paszportu, — z uśmiechem zauważył Ammałat, — ale gdy tylko wyląduję w Marsylii, ubiorę się i pójdę do konsulatu Korduch. Tam, gdy się dowiedzą o moich osobistych stosunkach z dyktatorem Diatzem, konsul natychmiast wystawi mi paszport. Ale gorzej jest zejść z okrętu bez dokumentów i wiz...

— Nie bój się pan! — z chytrością mrugnął Grek swoim czarnym okiem, — Ajaks Pecano wyprowadzi pana. Pecano jest w jaknajlepszych stosunkach z policją całego świata. Tego wymaga jego wątpliwe w oczach władz rzemiosło...

Załoga „Epiru“ była istną międzynarodówką w minjaturze. Z dwunastu ludzi, było ośmiu poddanych ośmiu różnych państw, a u pozostałych czterech przynależność państwowa wytarła się, jak moneta, która długo krąży z rąk do rąk. Ale i sami, zapewne nie wiedzieli, co sądzić o swojem pochodzeniu.

Półnadzy, wysmagani wiatrem, opaleni, z kolorowemi chustkami na głowach, częstokroć z kolczykiem w uchu, niektórzy ze szramami na twarzach, niektórzy bez palców, jeden z bielmem na całem oku — robili wrażenie „zuchów“ z jakiejś rozbójnickiej bryganty, którzy nie znają pojęcia strachu.

Na brzegu mogli pozwolić sobie na wszystko. Na statku zaś Ajaks Pecano skuł ich żelazną dyscypliną. W przeciwnym bowiem razie trwałyby nieustannie bijatyki, pijaństwo i nieróbstwo.

A u tych, którzy początkowo próbowali wyłamać się z pod dyscypliny, rękojeść kapitańskiego rewolweru jeździła po twarzy, po głowie, po czem się dało. Murzyn Lucien, jak sanitarjusz na polu walki, bandażował twarze, lepił plastry, dawał jakieś leki tym, którzy ucierpieli, ażeby resztki wybitych zębów nie bolały.

Dyscyplina została zachowana. Mało tego: ci straceńcy byli bezgranicznie oddani swojemu kapitanowi. Tylko z takimi ludźmi mógł Ajaks Pecano wysoko nieść sztandar swojego szanownego zawodu.

Od chwili, gdy marynarze wyłowili z morza człowieka, przyczepionego do kawałka masztu, on stał się ich ulubieńcem. Oni oddali należne męstwu i wytrzymałości jedynego człowieka, który wywalczył sobie prawo do życia, po katastrofie „Perły Francji“. W dalszej drodze on ostatecznie zdobył sobie tych ludzi. Zwłaszcza po tem, jak Ammałat, z tak dobrze im znanego kapitańskiego rewolweru, trzy razy z rzędu na 15 kroków przeciął kulą, przylepiony do kartonu papieros.

Bardziej efektowny był i jeszcze większy zachwyt wywołał numer z rzucaniem noży. Do tego zmobilizowano wszystkie koziki i mniejsze noże kuchenne oraz noże, będące w posiadaniu marynarzy. A jakiż majtek półkorsarskiego statku rozstałby kiedykolwiek się z nożem?

Zdjęto z zawiasów pierwsze drzwi, które się trafiły pod rękę.

Wysoki, chudy Dalmatyńczyk, który kiedyś studiował w szkole sztuk pięknych w Raguzie, dobrze, prawie jak portret, wyrysował węglem podobiznę czarnego Luciena. Stary murzyn był niezmiernie dumny z takiego wyróżnienia. Sam zaś trzymał w pogotowiu całe naręcze noży: kuchenne z długiem ostrzem, krótkie fińskie z rękojeściami z czarnego drzewa, noże myśliwskie i wąskie sztylety włoskie, podobne do kolosalnej igły.

Też piętnaście kroków.

Różnolita załoga skupiła się wokół Chana Mugańskiego. Nawet Ajaks Pecano wyjął z ust cygaro. Obok niego sterczał w czapce wątpliwej białości szef kuchni Kufeliczek, który pozostawił własnemu losowi gęś na ogniu, przeznaczoną dla kapitańskiego stołu.

U wszystkich nastrój wyraźnie podniecony.

Ammałat wziął nóż dwoma palcami za koniuszek ostrza, rzucił okiem na „portret“ Luciena i krótkim ruchem cisnął nóż. Ze straszną siłą i świstem, z nieuchwytnym dla oka błyskiem, zrobiwszy kilka koziołków w powietrzu, nóż utkwił w narysowanym oku, zagłębiwszy się na jakie dwa palce w desce.

Pierwszy nóż, utkwiony poziomo, jeszcze drżał, gdy już drugi wbił się obok w drugie oko.

Z taką samą dokładnością Ammałat „wykreślał“ całą figurę i każdy z dwudziestu noży wbił się w tłusto narysowaną linię sylwetki.

Niema cisza zamieniła się we wściekły ryk tryumfu. Cała zgraja podchwyciła Ammałata na ręce i obniosła dokoła pokładu.

Następnie cała załoga na wyścigi proponowała swoją osobę, jako żywą tarczę, — tak była wielka wiara w człowieku, wychlupniętego przez ocean!

Ajaks poinformował się.

— A czy to jest konieczne, aby nóż w locie robił „salto mortale“? Czy to tylko dla większego efektu?

— Z każdym takiem „salto mortale“, trafiającym na opór, zyskuje się na intensywności uderzenia i przedłużenia się długości lotu. Czy obserwował pan w cyrku napowietrznych akrobatów? Po jednem „salto“ w powietrzu, skok jest krótszy, aniżeli po podwójnem „salto“. Zasada obowiązuje ta sama i dla lecącego pocisku, i dla żywego ciała, i wreszcie dla kuli, która idzie po gwincie. Ona razi mocniej i dalej leci od kuli, która wyszła z gładkiej lufy.

Ajaks pokiwał głową.

Ja w tych balistycznych mądrościach nie bardzo się orientuję, tylko powiem jedno: przysięgam na prochy mojej babki, w której był zakochany wielki poeta lord Byzon, — mówią, że wielki, ja go nigdy nie czytałem! — przysięgam, że nie spotykałem jeszcze połączenia w jednym człowieku takiego strzelca z takim miotaczem noży, i, prawdopodobnie już nigdy nie spotkam! Czy występował pan kiedy w cyrku?

— Nie, jeszcze nie zdarzyło mi się...

— Szkoda!

— Dlaczego szkoda? — uśmiechnął się Ammalat.

— Bardzo czysta robota! Widziałem Persów z nożami, jeszcze jakichś tam wschodnich ludzi widziałem, ale gdzież im równać się z panem! Artysta, z pana, mistrz! I gdzież to pan, kiedy i u kogo zdobył tę umiejętność?

— W swojej ojczyźnie... Jeszcze w dzieciństwie.

— Zazdroszczę takiej ojczyzny i takiego dzieciństwa.

Więcej Grek słowa nie dodał, aczkolwiek bardzo go intrygowała przeszłość niespodziewanego pasażera. Widać tylko, że ten rosyjski oficer, czarująco prosty i równocześnie dumny, wie, co to władza i umie rozkazywać...

Z jednej strony to niby dużo, a z drugiej — mało.

Jeśli zechce — sam opowie, nie zechce — to jego sprawa. Ajaks sam nie znosił, gdy ktoś grzebał się w jego przeszłości...

* * *

Ta morska wycieczka na „starej skorupie“, jak Ajaks nazywał półpieszczotliwie, półpogardliwie swój statek, była dla Chana grubo przyjemniejsza, aniżeli podróż na transatlantyku z jego komfortem i eleganckiem towarzystwem.

A gdyby jeszcze nie natarczywa myśl: „Oby jaknajprędzej dostać się do Paryża“ — trudno wykombinować lepsze wrażenia.

Z tego niewysokiego pokładu, człowiek jakoś blisko, bezpośrednio, całą swoją istotą zlewa się z oceanem, odczuwa jego wielkość, nieobjętość, jego zapach, wnika w ten żywioł... Stąd bliżej do Boga... Ale i do człowieka bliżej. I człowiek jest ciekawy. Ciekawszy nawet ze swej ciemniejszej strony. Biografia większości tych półnagich ludzi, z głowami obwiązanemi jaskrawemi chustkami, jak u piratów, jest ciemna! Ale — to są zato ludzie o silnych namiętnościach! Oni widzieli dużo biedy i dużo przeżyli. Polując na cudze głowy, podstawili swoje...

Przed oczyma Ammalata dotychczas jeszcze tkwił obraz panicznego chaosu na wspaniałym, płonącym transatlantyku. Dotychczas brzmiał mu uszach zwierzęcy i dziki krzyk dżentelmenów w smokingach, którzy nogami, pięściami i kastetami torowali sobie drogę przez oszalały tłum dzieci i kobiet...

I gdyby tak zajrzeć w duszę tych i tamtych — powstałoby pytanie: kto jest większym barbarzyńcą — ci tutaj, obszarpani, bosi, czy tamci w smokingach, od wczesnego rana wlewający w siebie coctaile, a wieczorem upajający się ogłuszającym jazz'em.

A kuchnia na „Epirze“?

Ajaks Pecano, bocman Wasiljew i Ammalat jedli dania mniej wyszukane, aniżeli pasażerowie na transatlantykach, ale niewątpliwie bardziej smaczne. Czech Kufeliczek był nielada kucharzem!

Załoga miała inne menu. Obfite, pożywne, ale proste.

Początkowo marynarze protestowali:

— Tak nie może być! To nie jest w porządku! Dla nich pularda, dziczyzna, a dla nas polewka z mięsem! Czemu taka różnica?

— Czemu? — złowrogo powtarzał Ajaks Pecano, klepiąc siebie jedną ręką poniżej pleców, a drugą po głowie. — Tu jest różnica! Możliwe, że wszyscy razem i każdy z osobna jesteście lepsi ode mnie, ale to ja wam daję kawałek chleba, a nie wy mnie! Moja głowa pracuje nąd tem, a nie wasza! Ja tłukę was po pysku, gdy potrzeba, a nie wy mnie! Dlatego jestem najmądrzejszy, najzdolniejszy, naj... I dlatego mnie się należy pularda i dziczyzna, a wam gęsta polewka z tłustem mięsem! Zrozumieliście? Niech się nikt z was nie odważy więcej zgłaszać z takiemi protestami, bo mordę sporę na sznycel! A potem jazda z okrętu — na cztery światy!

Od tego czasu nikt więcej nie poruszał kwestji pulardy i polewki.

Dwóch było prawdziwych marynarzy - zawodowców na „Epirze“, prócz Ajaksa: bochman Wasiliew i dełmatyńczyk Sigurno.

Pierwszego zaraz dnia, zauważywszy czterdziestoletniego Wasiliewa, blondyna z płaskim profilem, szerokiemi barami i piersiami, jak kowadło, Ammalat zapytał:

— Jesteście byłym marynarzem rosyjskiej cesarskiej floty?

— Tak jest! — stanął „na baczność“ Wasiliew, który nieomylnie poznał w Chanie Mugańskim oficera.

Dla nich wielką radością, było długo i często wspominać Rosję i rozmawiać w języku rosyjskim, dla jednego ojczystym, dla drugiego prawie ojczystym.

A Wasiliew miał jeszcze jeden powód do radości: on mógł wypowiedzieć swoje wątpliwości, mógł wyspowiadać się przed człowiekiem, który go zrozumie, jak nikt inny, gdy sam przeżył taką samą tragedię.

Wśród cudzego morza, pod cudzemi gwiazdami, wśród cudzych ludzi, stojąc na mostku kapitańskim z szeroko po marynarsku rozstawionemi silnemi nogami i patrząc przed siebie, Wasiliew cicho mówił.

Ammalat nie widział jego twarzy, ale to nie było potrzebne. Głos Wasiliewa dźwięczał chwilami nutą bólu, który szedł z głębin duszy, zatrutej goryczą rozczarowań rewolucyjnego szału i tęsknoty za niepowrotem...

— ... Jestem marynarzem floty czarnomorskiej. Przyszła wojna. Zatopiliśmy tureckie transportowce. Polowaliśmy na „Gebena“. A gdy admirał Kołczał wziął w swoje ręce całe morze Czarne, „Geben“ nawet nosa nie pokazał z Bosforu. Zaczęła się rewolucja. Uradowała się dusza moja! Myślę sobie: ot, pięknie będzie! Raj nastanie na ziemi! Nie będzie ani czarnej, ani białej kości. Równość, braterstwo, swoboda! Wszystkim będzie strasznie dobrze, wszyscy będą żyli w miłości i zgodzie. W prawdzie nikt nikogo nie będzie gniótł i ciemiężył... A potem, jak zaczęli marynarze żywcem wrzucać swoich oficerów do pieców i do morza, związując po kilka osób drutem... Myślę sobie — tak wygląda wasza swoboda?! Byłem bliski wariactwa. Po nocach nie spałem. Gdzież prawda? Prawda gdzie? I rzekłem na mityngu: „Bracia, pocóż robiliśmy rewolucję? Żeby swoich oficerów palić? Hołotę na ich miejsce posadzić?!

Jak nie zaryczą! Precz z nieuświadomionym, do morza z nim! Innego może i wrzuciliby, ale mnie znali dobrze: w całej flocie czarnomorskiej nie było marynarza silniejszego od Wasiliewa.

Zbrzydło to wszystko. Chciało się uciec jaknajdalej...

Korzystając z naprawy naszego krążownika w Konstantynopolu, wyszedłem na brzeg i więcej nie wróciłem. Tułałem się po białym świecie. Zaznałem i chłodu i głodu. Ale nie żałowałem. Bóg świadkiem, że nie żałowałem! Byłem wolny, jak ptak niebieski. Tęskniłem tylko za Rosją, dusza bolała... Za co tyle cierpień?..

Tak, tak... Czego tylko nie próbowałem! Dostałem się jako palacz na włoski okręt handlowy, do Mursiji. To już z Neapolu. Po przybyciu do Mursji, kapitan powiada: „Nie jesteś więcej potrzebny, Wasiljew. Swoich mamy poddostatkiem." I za to dziękuję, powiadam. Może jakoś nie zdechnę. Zacząłem wyładowywać węgiel w porcie i wozić taczkami. Niby łatwa praca, a jednak strasznie ciężka! Nawet z moją siłą nie mogłem wytrzymać! Ale co tam moja siła! Murzyni tamtejsi padali z nóg. Mogli wytrzymać tylko murzyni afrykańscy z... jak się tam nazywa? — Zanzibaru. Tu właśnie zetknąłem się po raz pierwszy, przed półrokiem, z Ajaksem Mefistoklewiczem, daj mu Boże zdrowie! Teraz, jak pan widzi, jadam przy kapitańskim stole. A płacę mam taką, że wydać niesposób! Tylko, wie pan, za Rosją tęsknota trapi! Wypowiedzieć nie mogę, jaka tęsknota! Zresztą pan mnie dobrze rozumie!

Głos Wasiljewa urwał się, jak pęknięta struna...

I w tym samym kierunku, daleko, nieskończenie daleko, przeciągnęły się nici wspomnień rosyjskiego marynarza i rosyjskiego oficera...

Zamiast oceanu z jego świeżym i silnym podmuchem, zaigrały przed oczyma Wasiljewa inne fale, rozkołysane wiatrem fale zbóż, połyskujących w słońcu złotem, i białe wiejskie cerkwie na horyzoncie...

Stojący obok Ammałat widział przedwieczorne stepy mugańskie, widział stada baranów, posuwające się w tumanach kurzu, słyszał nawoływania jeźdźców w pstrych chałatach, słyszał zawodzenia muezyna ze szczytu iglastego minaretu.

I nagle stepowy miraż zniknął, przysłonięty kamiennemi kolosami cesarskiej stolicy, z jej granitowemi wybrzeżami, marmurowemi pałacami i korpusem paziów, dziełem wielkiego Rastrelli. Gdzie jest to wszystko? Gdzie? I złote niwy z białemi cerkwiami, i stepy, i różowe w słońcu tumany kurzu, i minarety, i dostojna stolica północy? Gdzie?

Czy było to wszystko kiedyś?

* * *

W miarę zbliżania się do celu podróży, Ajaks Pecano coraz częściej uzewnętrzniał swoje upodobania, nawyki i utajoną w nim „światowość".

Jego ciało z długiemi rękoma i nogami było jeszcze na pokładzie „Epiru". Wewnętrzne zaś „ja" błąkało się już po paryskich nocnych boites.

Ajaks Pecano niby usprawiedliwił się przed Ammałatem:

— Niechże pan powie, czy to nie będzie w zupełności zasłużony odpoczynek?

— W zupełności!..

— Nie, doprawdy, bez żartów! Kilka miesięcy pędzisz życie napoły rozbójnicze, napoły cygańskie, ryzykujesz absolutnie wszystkiem, do głowy włącznie, miota tobą wraz z tą skorupą po falach, — coprawda tą podróż wypadła nadspodziewanie spokojnie, — dziczejesz w towarzystwie najgorszych łotrów... W imię czego? Żebym nie mógł tydzień lub dwa otrząsnąć się i zabawić tak, by aż zahuczało dookoła! Mam rację, czy nie? Czy pan mnie rozumie? Czy pan współczuje ze mną?

— I współczuję i rozumiem...

W swojej kabinie Ajaks pokazał akuratnie zawieszony prześcieradłem nowiutki smoking.

— Widzi pan? Uszyłem sobie w Nowej Kartaginie!

— Czemuż nie starczyło cierpliwości doczekać się Paryża? Na „Epirze" smoking jest niepotrzebny. Tu pan nie wyłazi ze swetra, a w Paryżu uszyłoby coś nowszego i modniejszego...

— Do djabła z modą! poco mi to, kiedy już od rana ubiorę się w smoking!

— Jakto od rana? — zdziwił się chan. — To nie jest przyjęte.

— Nie jest przyjęte? Mało mnie to obchodzi. Zato wygodniej. Czy ja mogę zgóry wiedzieć, gdzie będę się wałęsał cały dzień? Może i nie trafię wcale do hotelu, żeby się przebrać. Nie, nie, tak praktyczniej...

Kłócić się z Ajaksem i przekonywać go Ammałat nie chciał i, zresztą, nie było sensu. Cały „czar" Ajaksa polegał właśnie na tych jego dziwactwach.

— Podczas każdego pobytu w dużem mieście zamawiam nowy smoking.

— Tak często?

— Przysięgam na prochy mojej śp. babki, że inaczej nie mogę! Rzadko obejdzie się bez większej bijatyki. Prawie zawsze człowiek spotka kogoś na swej drodze. Albo z powodu kobiety, swojej czy cudzej, albo ktoś w drogę wejdzie, albo komuś się w drogę wejdzie, i w rezultacie — pan sam rozumie!.. Ile już takich niezdatnych do noszenia smokingów podarowałem czarnemu Lucien! Całą kolekcję!

— A temu poco?

— Jakto poco? Zobaczyłby go pan na brzegu, jaki wystrojony! Zobaczy pan zresztą, dojeżdżając do Marsylii.

— Ależ czarny Lucien jest o dwie głowy niższy od pana!

— To nie przeszkadza! Coprawda, smoking sięga mu do kolan, ale zato spodnie on własnoręcznie przycina o kilka palców. Wygląda zupełnie, jak murzyński król, wystrojony na modłę europejską...

Wyśmiewając dobrodusznie czarnego Luciena, Ajaks nawet nie podejrzewał, że temsamem właściwie ośmieszał siebie. Słabość do smokinga była jednaka i u niego, kapitana, i u starego murzyna, skrobiącego kartofle.

I rzeczywiście, gdy minęli „Słupy Herkulesa" ze skałą Gibraltarską na lewo i Tangerem na prawo, i gdy po kilku godzinach wyłoniła się malownicza panorama Marsylii, amfiteatralnie opadającej ku morzu, czarny Lucien już w całej krasie paradował na pokładzie „Epiru". Smoking długi, jak płaszcz, skrócone, ale wciąż jeszcze długie spodnie, żółte rękawiczki, żółte pantofle, kolorowy krawat i straszliwie wymięty szapoklak.

Sam Lucien miał minę, z której wyraźnie biło przekonanie o własnej wyższości w tym wspaniałym stroju. Mimo, że Ammałat był przygotowany do takiego efektu, jednak wrażenie było piorunujące. Przez całą drogę Ammałat tak wesoło nie uśmiał się w skrytości, nie chcąc urazić starego serdecznego i miłego murzyna. Wiele można było mu darować, nie tylko żółte rękawiczki i kolorowy krawat przy kapitańskim smokingu...

Marynarze niezłośliwie żartowali sobie z niego:

— Teraz strzeżcie się marsylskie piękności! Czarny Lucien wam pokaże! Nieprawdaż, Lucien?

— Uważaj, żebyśmy tylko nie odbili ich tobie! A zresztą, czy możemy tobie dorównać!

Żartowali z czarnego Luciena, a i sami ubierali się, jak kto mógł i umiał. W każdym razie znikły bez śladu półnagie tatuowane ciała i korsarskie chustki na głowach. Sam Ajaks Pecano wyszedł ze swojej kabiny w kraciastym stroju i piaskowym meloniku z szeroką wstążką. W takim stroju trzydzieści lat temu jeździli Paryżanie na wyścigi konne.

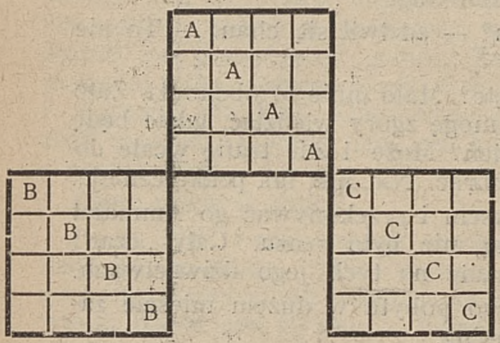
Tylko Ammałat pozostał w tem, w czem był przez 28 dni: w swetrze i w sukiennych spodniach. Z okrętu razem z Ajaksem udał się do magazynu gotowych ubrań.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

UZUPEŁNIANKA

pcd. M. T.



Wyrazy pomocnicze: A. 1) Imię męskie. 2) Olbrzymi pokój. 3) Mieszkaniec Azji zachodniej. 4) Rzeka w Syberji. B. 1) Napój orzeźwiający. 2) Rzeka w Polsce. 3) Wyspa włoska. 4) Leśny bożek. C. 1) Karnacja skóry. 2) Część twarzy. 3) Rodzaj wehikułu. 4) In. wynik pracy.

Złota myśl

L..s.ą j... ub..a m...o.ć, n.ż g..p.e b..ac..o.

Odczytać złotą myśl Bolesława Prusa.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 20 listopada

Rozwiązanie zadań z nr. 43 „Moich Powieści":

Logogryf: 1. Prerie. 2. Halina. 3. Śliwka. 4. Poznań. 5. Arabia. 6. Promyk. 7. Portyk. 8. Wiszar. 9. Elegia. 10. Bosman. 11. Rozwód. 12. Wiking. 13. Troska. 14. Pawian. 15. Płaski. Całość: Eliza Orzeszkowa. Bilety wizytowe: 1. Restaurator. 2. Komiwojażer. 3. Typografista.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Maria Słoniewiczówna — Grodno, Piotr Stachecki — Warszawa, Antoni Domasiewicz — Płońsk, Julja Chruścińska — Emiljanowo, Baśka Więcka — Wola, Elżbieta Juchniewiczówna — Łódź.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Marii Słoniewiczównie z Grodna i Piotrowi Stacheckiemu z Warszawy.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 15 listopada 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 12.03 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R 14.00 „Rykowisko jeleni" — transmisja z lasów pomorskich 14.35 Polska Kapela Ludowa 15.15 Audycja dla dzieci z przedszkola Rodziny Rezerwistów w Turówce na Podolu 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Fragment z „Kazań Sejmowych" ks. Piotra Skargi 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 „H. Sienkiewicz" — szkic literacki 19.20 Artyści mediolańskiej „La Scala" (płyty) 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Recital fortepianowy Henryka Sztompki 22.05 „Intermezza, melodie i utwory charakterystyczne" 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 16 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Paderewski gra — płyty 12.40 Nie bić — pogadanka 15.15 Koncert zespołu Pawła Rynasa 15.55 Wszystkiego potrochu — audycja dla dzieci 16.30 Tańce polskie w wyk. Ork. Symfonicznej P. R. 17.15 Koncert w wyk. Wiedeńskiego Tria Gitarzystów 17.50 „Cezary Lombroso" — pogadanka 19.00 Audycja Zw. Oficerów Rezerwy K.O.P. 19.30 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 20.10 „Juliusz Cezar" — opera w 3-ch aktach 22.40 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 17 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert południowy 15.15 Muzyka salonowa 16.30 Koncert w wykonaniu łódzkiej orkiestry salonowej 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Eidé Norena — płyty 17.30 III audycja z cyklu „Sonaty Beethovena" 17.50 „Andrzej Cepuch uprawia sporty" — wesoły dialog 19.00 „Dyskutujmy": Państwo i prywatna inicjatywa gospodarcza 19.20 Utwory Rio Gebhardta w wyk. Małej Orkiestry 20.00 Koncert symfoniczny z sali Domu Katolickiego 22.30 „Co nam przynosi Proust" — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 18 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka baletowa z popularnych oper 15.15 Koncert 16.10 Transmisja z filmu rysunkowego dla dzieci 16.30 Koncert w wyk. Orkiestry Kolejowego Przysposobienia Wojsk. 17.00 „Szkice z życia K.O.P.'u 17.15 Koncert solistów 17.50 „Podróżnik Polski w Kamerunie" — wywiad z L. Janikowskim 19.00 „Pan Wicio" — nowela Włodzimierza Perzyńskiego 19.20 „Na kwaterze" — muzyka baletowa Stanisława Moniuszki 20.00 Melodie południa 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Koncert kameralny 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 19 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert Tria Salonowego 15.15 Muzyka angielska — płyty 16.20 „Nad albumem znaczków pocztowych" — audycja dla dzieci 16.35 Koncert w wyk. Orkiestry Mandolinistów 17.00 „Dom rodzinny poza domem" — odczyt 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Książka i wiedza" 19.00 Premiera słuchowiska oryginalnego „Substancja 10" 19.40 Polska muzyka ludowa i salonowa 20.30 „Uniwersytet warszawski" — odczyt 21.00 6-ta audycja: „Sylwetki kompozytorów polskich" 22.10 „Płyty dla znawców" — płyty 22.40 Do tańca gra Mała Orkiestra P. R.

Piątek, dnia 20 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 16.30 Jan Kiepura i Marta Eggerth — płyty 12.03 Muzyka — płyty 15.15 Utwory Rio Gebhardta 17.00 Na zachodzie polskiego kolonisty — felieton 17.15 Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R. 19.20 Z pieśnią po kraju 19.45 Fragment operowy 21.00 Skrzypce i altówka — pogadanka 20.15 W starej serwantce — migawki muzyczne 21.00 Muzyka lekka 21.40 9-ty Koncert historyczny muzyki polskiej 22.30 „Metoda pana prezesa" — skecz 22.45 Muzyka taneczna — płyty.

Sobota, dnia 21 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert w wyk. zespołu „Almar i Otton" 14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci 15.15 Orkiestra Marka Webera i Ryszarda Crooks 16.15 Koncert orkiestry wileńskiej 17.00 Koncert solistów 19.00 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą: „Kolonie dla Polski" 19.30 „Na swojską nutę" — lekka aud. muzyczna 21.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R 22.00 „Kukułka wileńska" 22.30 Muzyka taneczna — płyty.

HUMOR

Poradził sobie

Dwaj przyjaciele jadą koleją, a gdy pociąg zatrzymuje się na stacji, jeden z nich mówi do drugiego:

— Wiesz, w tem mieście znalazłem się przed pięciu laty z jednym złotym w kieszeni... ten jeden złoty, to było moje szczęście.

— No. ale musiałeś nim dobrze obracać, żeby pomnożyć swoje środki?

— Naturalnie, że użyłem tego złotego w najwłaściwszy sposób — nadałem za niego telegram do domu po pieniądze.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.